Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 5 kwietnia 1936 r. Nr. 14



WITAJCIE!

Słychać gwar jakiś i szum radosny,
Szeleszczą skrzydeł w górze odgłosy —
Lecą bociany, zwiastuny wiosny!

Lecą radośnie bocianów roje,
Wracając z dala, z za gór, z za morza,
W najmilsze strony, w rodzinne, swoje.

Witajcie ptaki, zwiastuny wiosny!
Dobrze, że nam już niesiecie wreszcie
Wraz z szumem skrzydeł powiew radosny!

Wkrótce za wami Wiosna nadejdzie,
Niosąc zieleni, kwiatów naręcza —
Jaśniej się zrobi, gdzie ona przejdzie!...

Danuta Wyrybkowska.

MARJAN BRONISŁAWSKI

(14)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Zamyślił się głęboko.

— Obawiam, się czy Hanka nie powiedziała mu o tym swoim kawalerze czy kochanku, co to dostał tu raz baty od Sama. Jak się obydwaj zmamrują, gotówi kłopotu narobić, bo Winters ma pieniądze i zna miejsce pobytu Burskiego, a tamten może wyszperać, że cała historja o morderstwie była zmyślona. Wtedy miałbym śmiertelnego wroga w Gerberze, nie mówiąc już o Burskim, którego Winters zawiadomiłby o wszystkiem. Ot, kłopot...

Machnął ręką, wypił potężny kieliszek koniaku i wściekły na cały świat, poszedł na górę, do swego pokoju. Nie zapalając światła, rzucił się w ubraniu na łóżko i zasnął ciężkim, niespokojnym snem.

Na dworze już szarzało. Goście „Rajskiego kącika" gromadnie opuszczali salę i samochodami, czekającemi w pogotowiu, jechali w stronę miasta.

Zanim świt rozproszył zupełnie ciemności nocy, „Rajski kącik" opustoszał. Gdy za ostatnim gościem zamknęły się drzwi sali, Greta zabrała kasę i poszła na górę, a w kilka chwil potem cała służba porozchodziła się na spoczynek i w budynku zapanowała głęboka, nie zamącona cisza.

Haneczka w swoim pokoiku leżała na łóżku z otwartemi oczami i rozpamiętywała przejścia tej nocy. Wzruszona do głębi wiadomością o ojcu i groźbami Hardena, długo nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok, gdy nagle posłyszała lekki szelest przy oknie. Zerwała się i przerażona do najwyższego stopnia chciała już wołać, że ktoś się do niej zakrada, kiedy przez uchylone okno doszedł do jej uszu cichy ale wyraźny szept:

— Nie bój się, Haneczka, to ja, Winters. Słyszałem wszystko, co Harden mówił do ciebie, i zapewniam cię, że niema w tem ani słowa prawdy. Nie bój się gróźb i nie wierz w obietnice tego człowieka. Za parę dni przyjdę, tymczasem bądź spokojna i nie mów nikomu, że ostrzegałem cię. Majątek twój mam przy sobie i nie dopuszczę, żeby cię ten łotr obrabował. Ufaj mi i czekaj cierpliwie!

Okno zasunęło się bezszelestnie.

Haneczka cichutko wstała z łóżka i podeszła do okna. W niepewnem świetle szarzejącego świtu dojrzała Wintersa odstawiającego drabinę, po której dostał się do okna. Podłożywszy drabinę na miejscu skąd ją wziął, spojrzał w okno i ujrzawszy białą postać Haneczki, skinął na pożegnanie ręką i znikł w krzakach, otaczających budynek.

Uspokojona dziewczyna położyła się i po chwili mocno zasnęła.

Sprzymierzeńcy.

Gdy Winters, poczęstowany przez Hardena cygarem zaprawionem silnym narkotykiem, poczuł senność i zawrót głowy, odrazu poznał, że podstępny gospodarz chce go uśpić i pozbawić przytomności! Nie domyślał się, że Harden zna już treść listu Burskiego do Haneczki, i dziwiło go jego postępowanie, ale po zastanowieniu się przyszedł do przekonania, że Harden musi mieć wytyczony cel, a celem tym było nic innego, jak tylko przywłaszczenie sobie kosztownych kamieni Burskiego, a raczej jego córki.

To też udawał tylko, że zaciąga się zatrutym dymem cygara i świetnie grał rolę oszołomionego narkotykiem. Dał się bez oporu zaprowadzić na górę, i ułożyć w pokoju, udawał nieprzytomnego, gdy Harden rewidował mu kieszenie i rozpinał ubranie, ale w chwili, gdy Harden poszedł do pokoju Haneczki, cichutko wstał, wyszedł na korytarz i podkradłszy się pod drzwi, przysłuchał się całej rozmowie.

Boi się poprostu ukraść lub przemocą odebrać — pomyślał — i chce, żeby dziewczyna dobrowolnie wszystko mu oddała. Nie, nie udadzą ci się plany, łotrze, — ciągnął dalej w myśli, — nie dam ograbić tej sieroty.

Ukrył się na podwórku i przeczekawszy prawie do świtu, przystawił drabinę do okna pokoiku Haneczki. Ostrzegł ją i niewidziany przez nikogo, wydostał się na drogę, wiodącą do miasta.

Szedł pomału, namyślając się, jak dalej postępować. Rozważając wszystko, co mu Haneczka mówiła, postanowił odnaleźć Stefana Lubicza i przy jego pomocy zdemaskować Hardena i umożliwić Burskiemu powrót do kraju.

Po drodze napotkał samochód, jadący w kierunku New Jorku, i po godzinie jazdy znalazł się w mieście. Przespał się kilka godzin i wypoczęty udał się do redakcji najbliższego pisma, gdzie dowiedział się od jednego z dziennikarzy, że Stefan pracuje jako reporter w jednym z większych dzienników metropolji.

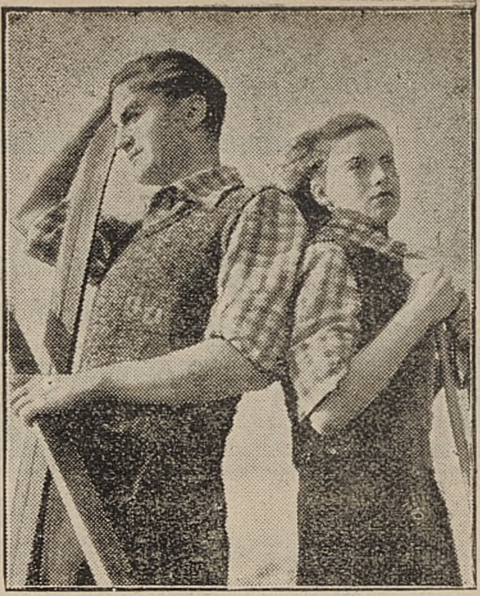
Zanim udał się do niego, bocznemi drogami zasięgnął wiadomości o młodym dziennikarzu i dowiedział się, że Stefan Lubicz jest chłopakiem pod każdym względem wzorowym, uczciwym i bardzo zdolnym, mogącym spodziewać się karjery na polu dziennikarstwa.

Zadowolony z wywiadu zgłosił się do redakcji i niezastawszy Stefana, zostawił krótki list, w którym prosił, aby pan Stefan Lubicz pofatygował się wieczorem do hotelu „Commodore", gdzie w pokoju numer 433 będzie na niego oczekiwał Piotr Winters w sprawie panny Hanki Burskiej.

Była godzina dziesiąta wieczorem, gdy do wspomnianego pokoju wszedł Stefan.

— Czy pan Winters? — spytał, kłaniając się. — Dostałem list...

— Proszę, proszę... Jestem Winters i list był odemnie. Przepraszam, że wezwałem pana do siebie, ale w redakcji powiadomiono mnie, że pan nie ma określonych godzin pracy i większą część czasu spędza pan poza biurem. Nie wiedząc, gdzie można pana



Na ostatniej górskiej wycieczce narciarze z żalem żegnają białe, śnieżne szlaki.

spotkać, pozwoliłem sobie poprosić, żeby pan do mnie przyszedł.

Podał mu rękę i wskazał fotel, poprosił, żeby usiadł.

— Zanim przystąpimy do sprawy, muszę panu powiedzieć, że jestem serdecznym przyjacielem ojca panny Burskiej i zawdzięczam mu życie...

— To ojciec mojej Haneczki... przepraszam, panny Burskiej, żyje?

— Żyje, i prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości powróci do New Jorku...

Twarz Stefana promieniała radością.

— Jakież to szczęście dla Haneczki, panie Winters! A na równi z nią i ja się cieszę, bo może przy jego pomocy uda się wyrwać ją z rąk tego łotra, który mieni się jej opiekunem, a do zguby ją pędzi.

— Wiem, o tem, mój młody przyjacielu. Byłem w „Rajskim kąciku" i widziałem tę biedną sierotę. Oddałem jej list od ojca...

— Widział pan Haneczkę... A ja od miesięcy całych nie rozmawiałem z nią, nawet z daleka widzieć jej nie mogłem. Pewnie zapomniała już o mnie...

— Myli się pan. Panna Burska nietylko nie zapomniała o panu, ale od niej właśnie dowiedziałem się, że pan jest dziennikarzem i ona poradziła, żebym pana odszukał. Nie znam miasta i tutejszych stosunków i spodziewam się, że przy pańskiej pomocy uda mi się umożliwić Burskiemu powrót do kraju.

— Nie zapomniała Haneczka... Panie Winters, pan sobie nawet nie wyobraża, jak bardzo mnie pan temi słowami uszczęśliwia.

— Co tu dużo gadać... Haneczka kocha pana całą siłą swego czystego serduszka i zawsze myśli o panu. Mówiła mi jak poznaliście się jeszcze w dzieciństwie...

Stefan zerwał się z fotela i gwałtownie ścisnął rękę Wintersa.

— I nie ma mi za złe, że przez tyle miesięcy nie pokazałem się, że jej nie wyrwałem z rąk tego łotra?

— Najlepszy dowód, że nie zapomniała o panu ma pan w tem, że poprosiłem pana do siebie. Bo od kogóż mógłbym wiedzieć o panu?

— Prawda, prawda, panie Winters, — mówił Stefan gorączkowo. — Nadzieja we mnie wstępuje... Tak długo jej już nie widziałem... Haneczki mojej jedynej, i szalałem z rozpaczy, że ona może myśli, że zaniechałem ratowania jej z rąk Hardenów! Raz tylko widziałem ją w tej jaskini zepsucia... raz jeden, i to bardzo dawno. A gdy chciałem porozumieć się z nią, Harden kazał zbić mnie do utraty przytomności i długo-miesięczną chorobą to przypłaciłem.

Winters słuchał, nie przerywając.

— Pisałem listy, posyłałem je przez zaufanych przyjaciół — żadnego nie dostała. Harden oka z niej nie spuszcza i na każdym kroku pilnuje. Chciałem wydostać ją stamtąd drogą urzędową, przez Towarzystwo Ochrony Kobiet. I to się nie udało. Pojechały panie z komitetu i złożyły sprawozdanie, że panna Burke znajduje się w uczciwym domu, że opiekunowie są dla niej dobrzy i rzeczywiście zastępują rodziców. Widziałem jej podpisane zeznania. Powiedziała nawet, że zawód tancerki wybrała z własnej woli i jest zupełnie szczęśliwa... Nie mogę pojąć tego wszystkiego, bo znam Haneczkę i wiem, że ona brzydzi się takiem życiem...

— No, ja już wiem, dlaczego tak mówiła. Harden wpoił w nią przekonanie, że jest panem losu jej ojca, że może spowodować uwięzienie Burskiego i śmierć jego na krześle elektrycznem. Poświęciła się, aby ojca ratować...

— Biedna, dobra Haneczka — wtrącił Stefan, przypominając sobie, że Haneczka mówiła mu, że Harden posłał jej list do ojca. — Gdy ją ostatni raz widziałem, była zachwycona dobrocią Hardena i mówiła, że wysłał jej list do tatusia. Nic jej na to nie odpowiedziałem, gdyż byłem przekonany, że ojciec jej już dawno nie żyje, a Harden chciał ją w ten sposób pocieszyć i dobrze usposobić dla siebie. Ale teraz...

— Teraz, mój młody przyjacielu, musimy koniecznie dowiedzieć się, co spowodowało ucieczkę Burskiego i postarać się, żeby jak najprędzej wrócił do córki. Burski mówił, że zabił jakiegoś Gerbera i że stało się to w szynku Hardena, gdzieś w portowej dzielnicy miasta. Trzeba więc sprawdzić, w jakich warunkach odbyło się to zabójstwo. Z opowiadania Burskiego wnioskuję, że strzelił w obronie własnego życia, a tego przecież nie można nazwać morderstwem. Przez kilka dni przeglądałem stare gazety, z czasów, kiedy to się stało, ale nigdzie najmniejszej wzmianki o zabójstwie lub o zniknięciu żadnego Gerbera nie znalazłem. To naprowadza mnie na myśl, że Burski nikogo nie zabił, bo gazety napewno by się rozpisywały o zabójstwie.

— Gerbera? — spytał Stefan, zbierając myśli. — Zdaje mi się, że znam człowieka tego nazwiska. Tak... jestem pewny, że znam Gerbera, ale nie mogę sobie przypomnieć, kiedy i gdzie go poznałem.

Winters przysłuchiwał się ciekawie.

— No, panie Stefanie, niech pan sobie przypomni, to może być bardzo ważne dla nas.

Stefan chwilę myślał głęboko, ale napróżno.



Na zdjęciu widzimy rzadkie i niezwykłe popisy w jednym z cyrków angielskich. Zdolnemu chłopcu — skrzypkowi, jako akompanjator służy ... goryl.

— Trudno — rzekł wreszcie — nie przypomnę sobie. A przyszło mi na myśl, że możemy dowiedzieć się w policji, czy jaki Gerber był kiedykolwiek zabity czy zamordowany. Mają przecież stare akta każdej niedokończonej sprawy i z łatwością dowiemy się z tych papierów. Mam nawet znajomego jednego sierżanta w głównem biurze policji i on nam ułatwi poszukiwania.

— Doskonale — odparł Winters. — A jeżeli w zapiskach policyjnych nie znajdziemy wzmianki o zabójstwie Gerbera i poszukiwaniu Burskiego, będziemy mieć pewność, że cała sprawa była wymysłem Hardena. Czy może pan jutro rano przyjść do mnie?

— Przyjdę, panie Winters, i razem pójdziemy do policji. Znają mnie tam cokolwiek jako reportera, a z tym sierżantem, o którym mówiłem, jestem w dobrych, nawet przyjacielskich stosunkach.

— Zatem do jutra. Ale muszę powiedzieć panu jeszcze jedną rzecz, mojem zdaniem bardzo ważną.

— Słucham — rzekł Stefan.

— Oto, że Burski, mój przyjaciel a ojciec Haneczki, uzbierał spory majątek i przysłał go przeze mnie dla córki. Są to drogie kamienie, nieszlifowane, ale przedstawiające wartość około stu tysięcy dolarów. Mam je przy sobie. Harden widocznie przejął list Burskiego, dany przeze mnie Haneczce, i dowiedział się, że mam te kamienie. Nie wiem w jakim celu chciał mnie uśpić narkotykiem, gdy spróbowawszy cygara, którem mnie częstował, udałem uśpionego i pozwoliłem się zanieść do pokoju i obrewidować. Nie wziął mi jednakże nic, tylko zażądał od Haneczki, żeby odebrała ode mnie te kamienie i jemu oddała jako pożyczkę. Nagadał jej niestworzonych rzeczy i przekonał dziewczynę. Ja podsłuchałem rozmowę i zdołałem ostrzec Haneczkę. Jestem pewny, że ten łotr nie cofnąłby się przed zbrodnią, żeby zagarnąć mienie tego biednego dziewczęcia.

— Ale póki pan ma te kamienie w swem posiadaniu, Harden nie położy na nich swej brudnej łapy. Dlatego...

— Ma pan rację. Ale jeżeli Haneczka zażąda, żebym jej oddał to co ojciec przysyła, nie będę mógł odmówić. Wszak to jej własność, której stróżem tylko jestem. A Harden pomimo mego ostrzeżenia potrafi tak ją oplątać kłamstwami, że niedoświadczona dziewczyna uwierzy mu i zgodzi się na wszystko. Trzeba koniecznie jak najprędzej wyrwać ją z jego rąk, a tego dokażemy, gdy nam się uda wyświetlić łotrostwo, które spowodowało ucieczkę Burskiego. Więc jutro rano o dziewiątej oczekuję pana. Tymczasem niech pan się nie martwi i nie kłopocze. Damy sobie rady! Jakiś wewnętrzny głos mi mówi, że Burski będzie mógł wkrótce przyjechać. No, dobrej nocy, panie Stefanie.

Pożegnali się i Stefan wyszedł, przepełniony radością i nadzieją.

Na drugi dzień już przed naznaczoną godziną Stefek był u Wintersa. Zjedli razem skromne śniadanie w restauracji hotelowej i stamtąd udali się prosto do głównego biura policji. Stefek prędko odnalazł swego znajomego sierżanta. Był to stary, siwy Irlandczyk, olbrzymiego wzrostu, jakich często się widzi w szeregach policji newjorskiej. Stefana poznał jeszcze jako chłopca biurowego w redakcji i szczerze polubił roztropnego i inteligentnego chłopaka. Ucieszył się też prawdziwie na jego widok.

— Jak się masz, Stef! — zawołał witając się. — I cóż cię sprowadza do policji? Z pewnością musisz mieć jaki interes do biura, bo wątpię, żebyś chciał tylko mnie starego odwiedzić.

— Dzień dobry, panie Sogan — odpowiedział Stefan, ściskając rękę starego policjanta. — Przyszedłem w dwóch celach: uścisnąć poczciwą dłoń starego przyjaciela, a równocześnie zasięgnąć informacji w pewnej sprawie. Pozwoli pan, że przedstawię mego towarzysza. Pan Winters...

— Bardzo mi przyjemnie, panie Winters — odpowiedział Sogan, podając olbrzymią łapę przedstawionemu. — Nazywam się Sogan i trzymam się zasady, że przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Witam pana!

— Czy może pan wyjść z nami na chwileczkę, panie Sogan? — spytał Stefan przymrużając oko. — Może tak do tej knajki naprzeciwko? Co? Na jednego?

— Co?! W czasie służby! To ty młokosie chcesz starego sprowadzić z drogi obowiązku! Patrzajcie go... na jednego. Ani mi się śni. Wieczorem, to co innego, ale teraz... Coś takie...

Udawał ogromnie oburzonego, ale twarz szeroko mu się śmiała.

Stefan wyjął z kieszeni kamizelki grube cygaro i podał je Soganowi.

— Przepraszam, bardzo przepraszam, panie Sogan. Nie myślałem źle. Proszę niech pan chociaż zapali. To przecie wolno panu w czasie służby.

Sogan wziął cygaro, powąchał i obejrzał okiem znawcy.

— Hm... zapalić można. Ale żeby chodzić po knajpach w biały dzień!

Spojrzał na zegarek.

— Jedenasta. Hm... Właściwie mógłbym iść na drugie śniadanie, ale tylko na chwilkę. Roboty huk...

— Otóż to. Na drugie śniadanie, panie Sogan. Niedaleczko, pogawędzimy z panem Wintersem, łykniemy cokolwieczek i za kilkanaście minut wróci pan do pracy. Bardzo proszę, panie Sogan.

Stary mruczał coś pod nosem, ale równocześnie zapinał mundur.

— Skoro już tak koniecznie prosisz, cóż mam robić, ty smyku! Ale pamiętaj, żeby to się nigdy nie powtórzyło. Wiesz, że nie piję, tylko w bardzo rzadkich okolicznościach. Pójdę zjeść cokolwiek, ale żadnego szkła, rozumiesz?

Wyszli razem, i po chwili znaleźli się w osobnym pokoju niedalekiej szynkowni.

Sogan kropnął sobie trzy potężne kieliszy mocnej wódki, przekąsił kilkoma „sandwiczami", popił piwem i zapaliwszy cygaro, spytał Stefana:

— No, skusiłeś mnie. Teraz gadaj, czego chcesz? Tylko nie żądaj czegoś takiego, czego nie śmiałbyś zażądać od każdego innego urzędnika czy policjanta. Stary Sogan jest gotów wszystko zrobić dla przyjaciół, ale tylko w granicach prawa. Zrozumiano?

Stefek szybko opowiedział o Burskim, Hardenie i Haneczce. Opowiadanie zakończył słowami:

— Pan Winters przyjechał właśnie stamtąd, gdzie Burski i przywiózł dla Haneczki całą kupę drogich kamieni. Harden chciałby zagrabić majątek dziewczyny, a my chcemy dowiedzieć się, ile prawdy było w sprawie zabójstwa Gerbera...

— Dziwna rzecz — przerwał mu Sogan. — Czterdzieści lat jestem w policji i pamięć mam doskonałą, ale nie pamiętam żadnej takiej sprawy. Hm... powiadasz, że ów Burke sam mówił, że zabił Gerbera i uciekł przed pościgiem policji? Coś mi się zdaje, że w tem tkwi jakieś łotrostwo...



W czasie „półpościa" urządza Paryż wesołe pochody i wybór królowej miasta, która następnie zostaje udekorowana bogatemi insygniami „królewskiemi". Są one naprawdę piękne, jak widzimy na zdjęciu.

— I ja tak myślę — wtrącił Winters. ny, że policja go poszukuje za morder- — Burke jest jednak święcie przekonastwo.

— Z łatwością się przekonamy, czy było meldowane w policji takie zabójstwo, bo ostatecznie nie mogę polegać na własnej pamięci. Chodźcie ze mną do biura, zobaczymy w aktach z tamtych czasów.

Po drodze Sogan zdawał sobie coś przypominać sobie.

— Gerber... Gerber — mruczał pod nosem. — Zdaje mi się, że znam takiego. Jeżeli się nie mylę, miał już niejedną sprawę z nami. Chociaż czy to jeden Gerber może być w New Yorku? Zobaczymy...

Sarty policjant zaprowadził Wintersa i Stefana do swego biura, a sam poszedł do archiwum, skąd po kilkunastu minutach przyniósł grubą paczkę pożółkłych aktów.

— To są akta niezałatwionych spraw z przed lat piętnastu — rzekł do Stefka. — Przepatrzcie, czy niema tam sprawy Burke—Gerbera, a ja tymczasem pójdę do biura detektywów i przejrzę listę poszukiwanych przestępców. Jeżeli na liście nie znajdę nazwiska Burke'go, będziemy mieli dowód, że albo zabójstwo nie miało miejsca, albo też było dokonane, ale nikt nie dał znać o niem policji. W takim razie będzie można pociągnąć Hardena do odpowiedzialności za zatajenie zbrodni.

— Ogromnie sympatyczny ten twój Sogan — przemówił Winters po wyjściu starego. — Dobrych macie ludzi w policji.

— Niestety, panie Winters, niewielu jest jemu podobnych. Stary Sogan — to jeden z nielicznych wyjątków. Do gruntu uczciwy, przez czternaście lat służby policyjnej nie potrafił zebrać majątku, jak wielu z jego młodszych kolegów. Łapówek nie przyjmuje i nikt go dotychczas przekupić nie zdołał. A to niezmiernie rzadka rzecz w szeregach policji...

— Ale dlaczegoż nie zajmuje wyższego stanowiska? Przecież przez czterdzieści lat mógł się dosłużyć stopnia kapitana, choćby wreszcie porucznika policji?

— Racja. Ale Sogan nie zgadzał się nigdy z metodami swych kolegów, gdy był przydzielony do oddziału detektywów, skąd łatwiej o awans. Innemi słowami, na służbę policyjną zapatrywał się z punktu widzenia prawa, uczciwości i obowiązku, a to nie zawsze podobało się jego kolegom i przełożonym. Inni robili wszelkiego rodzaju łotrostwa i awansowali, Sogan jak został sierżantem w pierwszych pięciu latach służby, tak i do dziś nim pozostaje.

— Musi mu być bardzo przykro, gdy widzi swych dawnych kolegów na wyższych stanowiskach...

— Gdzie tam. Sogan ma niewielkie potrzeby i wcale nie jest ambitny. Stary kawaler, mieszka gdzieś w tanim pensjonacie i bardzo mało wydaje na siebie. Pensję ma stosunkowo znaczną i większą część jej wydaje na utrzymanie i kształcenie dzieci po swej jedynej siostrze, która umarła kilkanaście lat temu. Pozatem lubi wypić sobie od czasu do czasu i jest namiętnym amatorem gry w pinakla, co pochłania resztę jego dochodów.

— W każdym razie to bardzo dobry człowiek. Chciałbym jakoś mu wynagrodzić za usłużność i trud, jakie dla nas ponosi.

— Nic łatwiejszego. Niech mu pan kupi pudełko dobrych cygar. Albo, jeżeli pan zna grę w pinakla, niech pan z nim zagra kilka partyj po ćwierć dolara. To uszczęśliwi starego więcej, niż najkosztowniejszy podarek, gdyż ile razy siądzie do gry, zawsze przegra.

— Owszem, pinakla znam i chętnie grywam, ale jakże go tu zaprosić do gry, kiedy widzę go dopiero pierwszy raz?

— To ja już załatwię. Tylko mu wspomnę, że pan jest amatorem tej gry, zaraz sam zaproponuje, żeby spotkać się z panem po godzinach służbowych.

W tej chwili Sogan wszedł do biura.

— No, chłopcy, mogę wam powiedzieć, że stara moja pamięć nie myli się. Na spisie poszukiwanych nazwiska Burske'go nigdy nie było. Patrzałem też w głównym indeksie przestępstw z zbrodni popełnionych od lat dwudziestu i nie znalazłem wzmianki o zabójstwie Gerbera.

— W takim razie, panie Winters, może pan wezwać Burskiego do powrotu, — zwrócił się Stefan do Wintersa.

— Czekajcie tylko — ciągnął dalej Sogan. — Nie znalazłem wzmianki o tem, żeby jakikolwiek Gerber był zabity, ale zato dowiedziałem się, że przed kilkunastu laty, właśnie w czasie owego rzekomego zabójstwa, Gerber był wspólnikiem tajnym Hardena i razem prowadzili spelunkę gry w karty w szynku portowej dzielnicy miasta. Potem Harden wyniósł się z New Yorku, a Gerber brał się do rozmaitych interesów, był kilkakrotnie karany, ostatnio za przemycanie kokainy, aż w końcu otworzył knajpę w Hoboken i do dziś dnia ją prowadzi. Zaraz wam dam adres jego.

— Serdecznie panu dziękujemy, panie Sogan — rzekł Stefan, ściskając dłoń sierżanta. — Teraz potrafimy wyjaśnić całą sprawę i odebrać pannę Burską z rąk Hardena. Ojciec jej wróci w przeciągu kilku miesięcy, a wówczas...

— A cóż ty, Stef, tak bardzo zajmujesz się tą panienką? Hę? Chcesz ją odbierać z rąk Hardena i pewnie wziąć w swoje łapy? Coś mi to podejrzane, ty smyku!

— Dowie się pan, jak zaproszę na wesele! — odpowiedział Stefan rozpromieniony.

— Aha... to aż tak? A cóż ona? Zawróciłeś jej w głowie, co?

— Kochamy się, panie Sogan, i to wszystko. Znam ją od dzieciaka, jeszcze jak Harden miał knajpę w porcie.

— No, daj ci Boże. Dobry jesteś chłopak i uczciwy, a to grunt. Jakże miewa się twoja matka?

— Dziękuję. Trzyma się matczysko jako tako. A o pana nieraz się pytała, bo nie zapomniała, jak pan nam pomagał w ciężkich czasach.

— Tylko nie mów głupstw Stef. Pozdrów że ją odemnie i powiedz, że jak będę miał więcej czasu, — wpadnę tam kiedy na godzinę.

— To może tak nie czekać, ale odrazu dziś wieczorem niech pan przyjdzie do nas na kolację? Pan Winters nie ma tu nikogo znajomego i nudzi mu się, a lubi zagrać w karty, więc



Małe zuchy, zadowolone z wiosennej pogody i miłego, kwietniowego słońca, wyprawiają przeróżne figle i harce w podmiejskich parkach.

może by tak na pinakla? Co? Co pan na to, panie Winters?

— Ależ z największą przyjemnością. Dawno nie grałem i lubię bardzo posiedzieć przy kartach...

Soganowi oczy się zaśmiały.

— Gra pan w pinakla? Doskonale Stef, przyjmuję twoje zaproszenie. Dziś o siódmej będę u was. Tylko, żeby twoja matka nie robiła sobie kłopotu z kolacją. Znasz mnie i wiesz, że nie jestem wybredny, w jedzeniu. Cokolwiek, aby tylko bez zachodu i wydatków.

— Dobrze, dobrze. Przyjadę po pana z panem Wintersem. Teraz zaś pojedziemy do Hoboken zobaczyć żywego nieboszczyka, prawda, panie Winters?

— Doskonale?

— Więc do wieczora — rzekł Stefan, żegnając się z Soganem. — Niech pan czeka nas w biurze, przyjedziemy na pewno.

Wyszedłszy z gmachu policji, zatrzymali pierwszą napotkaną dorożkę samochodową i kazali się zawieść do Hodoken, pod wskazany im przez Sogana adres.

Była to podrzędna odrapana i brudna knajpa na krańcu miasta.

— Nie tęgo musi powodzić się temu Gerberowi — rzekł Winters, patrząc na zabrudzone szyby i obskurne wejście do szynku. — Tem łatwiej się z nim dogadzamy.

Weszli do knajpy. Wewnętrzne jej urządzenie w zupełności odpowiadało odrapanemu frontowi. Gdzie oko padło, napotykało brud, niedbalstwo, niechlujność. Na niezamiatanej od tygodni podłodze poniewierały się niedopałki cygar i papierosów, kawałki gazet, pudełka od zapałek i inne śmieci. Stoliki, których kilka stało w głębi niezbyt obszernej salki, były pochlapane najrozmaitszemi płynami i przedstawiały jasny dowód, że nigdy ich nie myto ani wycierano. Wzdłuż jednej ze ścian stał długi bufet, na którym z jednego końca wznosiło się oszklone pudło z paczkami papierosów i tytoniu do żucia, a na niem prosta zapalniczka gazowa z unoszącym się nad nią cieniutkim płomyczkiem. Na drugim końcu stało kilka brudnych talerzyków z przekąskami, nad któremi unosiły się chmary much.

Za bufetem stał mężczyzna w średnim wieku, przybrany w przybrudzony biały fartuch i kaftan. Zwyczajem, przyjętym od niepamiętnych czasów przez amerykańskich bufetowych (inaczej „bartendrów“) podrzędniejszych knajp, trzymał w ręku kawał gałgana i udawał, że pracowicie wyciera powierzchnię bufetu, z którego od dawna już znikły wszelkie ślady lakieru, jakim był w nowości pokryty.

Przy jednym stoliku siedziało dwóch gości, którzy ćmiąc fajki, grali z sobą w zatłuszczone i połamane karty. Wyglądali na włóczęgów lub robotników bez pracy, którzy nie dbali o powierzchowność i zamiast szukać zajęcia, czas spędzali na przesiadywaniu w szynku.

Wejście Wintersa i Stefana, obydwu ubranych czysto i dostatnio, wzbudziło w oczach człowieka za bufetem i obszarpanych bywalców knajpy niekłamane zdziwienie. Nie byli widocznie przyzwyczajeni do widoku porządnie ubranych gości.

Przybyli przystąpili do bufetu i zażądali dwie szklanki piwa. Gdy „bartender“ postawił przed nimi żądany napój, Stefan rzekł:

— Mamy ważny interes do właściciela tego salonu.. Czy może pan nam powiedzieć, gdzie i kiedy można spotkać pana Gerbera?

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki"

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY 1)

TOMASZ SZELESTOWSKI, pogwizdując wesoło i wymachując laską, szedł lekkim, kołyszącym się, tanecznym krokiem przez aleje Łazienek, ozłoconych wiosennem słońcem, rozbrzmiewających świergotem miłosnym ptaków, przepojonych zapachem kwitnącego bzu, prawie że pustych o tej porze.

Przed chwilą pożegnał się czule na czas dłuższy z uroczą panią Isią.

Rozchodzili się bez łez, bez wymówek, pogodnie, przyjaźnie.

Ciężar spadł z serca Tomaszowi. — Czuł się lekki, rzeźki i wesoły, w zgodzie ze sobą i światem całym.

Stosunek z zalotną i ponętną panią Isią męczył go. Żona kolegi i przyjaciela z lat dziecinnych, który mu ufał i któremu ten skarb (w kolegi, a nie Tomasza mniemaniu), przywiózł z piekła bolszewickiego...

Wiózł ją aż z Samary, żonę poszukiwanego przez czerezwyczajkę „Peowiaka", sam poszukiwany również przez bolszewików oficer Dowborczyk, ukrywający się pod cudzem nazwiskiem.

Wagonem towarowym dusznym, cuchnącym brudem i potem końskim i ludzkim, jechała sobie para małżeńska obywateli polskich — Słowików.

Pan Słowik, urzędnik bankowy z Kostromy i pani Słowikowa, nieduża, zalotna bruneteczka, rodem mieszczanka ze Skolimowa.

W wagonie, prócz dziesięciu polskich rodzin z dziećmi, jechało jakichś dwóch podejrzanych osobników o semickim typie, pokornych, usłużnych, dyskretnych. Biegali oni po „wrzątek" na stację, wydostawali skądś kawałki węgla, naręcze drzewa do piecyka żelaznego, którym podróżni ogrzewali wagon, wyszukiwali w innych wagonach felczera, gdy ktoś nagle zachorował, pomagali rozpalać ogień w polu dla zgotowania ziemniaków, grochu, krup, podczas dłuższych postojów.

A jednak strzegła ich się cała biedota, spędzona w tym końskim wagonie. Węchem tropionej zwierzyny czuli, że są to specjalnie przydzieleni im szpiedzy.

Pod ich badawczym bystrym wzrokiem czulili się poufale państwo Słowikowie, zasypiali na wiązce ruszającej się od robactwa słomy, przytuleni do siebie, jak przystało na kochające się „małżeństwo".

„Stasiulek" „Marychna" ustawicznie wybiegało im w ciągu dnia z ust, popierane odpowiednim uśmiechem. Jechali blisko trzy miesiące. Tygodniami stali zapomnieni na stacjach lub w polu, czekając, aż zlitują się ci oni „wszechwładni" i doczepią wagon do jakiego towarowego pociągu i ruszą dalej, do następnej stacji, by znów tam czekać dnie, a czasem i tygodnie całe na dalsze zmiłowanie.

Podróż ta była naigrawaniem się z nędzy i poniżenia ludzkiego.

Z powodu długiego niezdejmowania obuwia pani Isia odparzyła sobie nogi i wtedy on, jak najczulszy mąż, przemywał obrzęknięte palce, z delikatnością zawodowej pielęgniarki, opatrywał, smarował wazeliną i obwijał szmatami na noc.

Z niezmierną wprost radością przywitali słupy graniczne polskie.

Osobnicy gdzieś znikli, jakby w ziemię się zapadli. A oni wszyscy szli jak łazarze, z bocznicy, na którą wepchnięto wagon, nie śmiejąc wierzyć swemu szczęściu, że są już u swoich.

Z panią Isią pożegnał się z ulgą i bez żalu. — To trzymiesięczne zamknięcie w zaduchu, w takich okropnych warunkach fizycznych i moralnych, sprowadziło na niego pewnego rodzaju stępienie zmysłów, a nawet odrazę fizyczną do swej towarzyszki podróży.

Jedno miał pragnienie — kąpieli, czystej bielizny i pościeli.

Spotkali się znów po dwóch latach w Alejach Jerozolimskich.

W strojnej, pachnącej, modnie ubranej laleczce nie poznał tej przesiąkniętej potem, pogryzionej przez pchły i inne robactwo, „pani Słowikowej" z wagonu końskiego.

Zaczepiła go pierwsza, zaprosiła do siebie. — Mąż wystąpił z wojska i pracował w ministerstwie robót publicznych.

W malutkiem, ale miłem mieszkaniu przy ulicy Smolnej poczuł się jak u siebie w domu. Wycałowany z dubeltówki przez pana Kosikowskiego, zachęcony przez powabną panią Isię, uśmiechającą się do niego takiemi uroczemi dołkami na prawie że dziecinnej buzi, „wdepnął" i — utonął.

Dwa lata ciągnął się ten stosunek, niezauważony przez pana Kosikowskiego, uwielbiającego bezkrytycznie, bałwochwalczo niemal swoją najmilszą Isieńkę.

Uczucie niesmaku, bo to zawsze kolega i do tego taki dobroduszny i zaślepiony — i coś w rodzaju wyrzutów sumienia — doprowadziły go do tego, że marzył w głębi duszy o wycofaniu się z drażniącego go, niemiłego położenia, tem więcej, że pani Isia, a właściwie Jadwiga, choć ładniutka, ale typowa ograniczona, płytka, bezmyślna mieszczaneczka z małego prowincjonalnego miasteczka, nie mogła niczem więcej poza fizyczną rozkoszą pociągnąć ku sobie przygodnego kochanka.

I po dniach udręki, szamotania się w sieci wystygłej namiętności, spotkała go radość wyzwolenia. — Spadła na niego niespodziewanie w postaci bileciku od p. Isi, przyniesionego o godzinie ósmej rano przez posłańca.

— Czekaj na mnie koło pałacyku w Łazienkach...

Szedł niechętnie, zasępiony, znudzony.

Nie spiesząc się na to spotkanie, ubierał się wolno, marudził przy śniadaniu, odpowiadając matce monosylabami, wreszcie włożył kapelusz i wyszedł. Spóźnił się o całe pół godziny. Pani Isia w jasnym heliotropowym kostjumie, pachnąca fiołkami, ożywiona, podniecona, wydała mu się znów ponętną.

Nie gderała za spóźnienie, nie zrobiła mu sceny. Ujęła go poufale za ramię i przycisnęła się do niego ruchem łaszącej się kotki. I nagle:

— Musimy się rozstać — oznajmiła mu niespodzianie tonem dramatycznym, starając się nadać smutny wyraz swej rozbawionej twarzy.

Radość zakipiała mu we krwi.

— Rozstać się! — zabrzmiało fanfarą w uszach.

— Tak, musimy się rozstać — powtórzyła znów pani Jadwiga, próbując wydobyć z piersi westchnienie.

— Dlaczego? — zdołał nareszcie wykrztusić.

Znów mocniej przycisnęła się do jego boku i główkę strojną w aksamitny toczek położyła mu pieszczotliwie na ramieniu.

— Tadzio otrzymał nominację na starostę we wschodniej Małopolsce, na samym krańcu, w N. z warunkiem objęcia posady natychmiast, bo tamtejszy starosta zginął tragiczną śmiercią w wypadku samochodowym. Chce mnie odrazu zabrać ze sobą.

— Co ty mówisz?!

Lecz musisz do nas przyjechać jak najprędzej, by mnie zobaczyć w roli starościny — zapraszała go.

Widać było po niej, że przejęła się bardzo nowem swojem stanowiskiem i drżała z niecierpliwości, by jak najprędzej objąć zaszczytne „obowiązki" pani starościny. — Wobec faktu zostania starościną, poszła w zapomnienie nawet jej „płomienna" miłość do niego, zabijająca wyrzuty sumienia i poczucie etyki.

— Podobno tam bardzo ładnie, okolica górzysta, Dniestr, lasy. Dla starosty wybudowana jest osobna willa w ogrodzie i samochód do rozporządzenia na zawołanie — zwierzała mu się, myślą przebywając już tam.

Całował ją po rękach, mówił moc komplementów, wyrażał nieszczery żal, że go opuszcza, robił jej wyrzuty za obojętność wobec niego.

— Nie kochasz mnie już?

— Ależ kocham... kocham... — odpowiadała z roztargnieniem — tylko... — zawahała się, jakby szukała słów — widzisz, mnie nieraz było żal Tadzika i wstyd wobec niego. On taki dobry, ufny, a ja go tak oszukiwałam. Już dawno chciałam zerwać, dużo razy postanawiałam sobie i brakło mi odwagi, bo ja ciebie także kocham...

I znów całował jej ręce, dziękując w duszy, że tak ładnie i estetycznie przecięła mu pętlę na szyi.

Wreszcie odjechała tramwajem. Nie chciała żeby jej towarzyszył...

Gdy wehikuł z głośnym jazgotem dzwonka i łańcuchów ruszył, Tomasz zawrócił do Łazienek, by się jeszcze raz przejść po parku.

W duszy huczała mu radość z tak pomyślnego dla niego obrotu rzeczy — tak wielka radość, że gdyby nie przepisy „dobrego wychowania", wpajane mu od dzieciństwa po lata dojrzałe, to rzucałby kapeluszem w górę i wołał: hu... ha...

Na zakręcie alei, prowadzącej koło pałacyku żelaznego, dawnej siedziby księcia „Pepi", przebiegł mu drogę mały foksterjerek, trzymający w zębach triumfalnie filcowy męski kapelusz.

Widocznie zdobycz była nielegalna, bo pies uciekał zawzięcie, goniony przez młodą, zadyszaną panienkę, sapiącego, otyłego jegomościa i tłum dzieci różnego wieku.

Chwycił psa w przelocie za obrożę i zatrzymał na miejscu.

Panienka rzuciła się ku wyjącemu się i warczącemu gniewnie zwierzęciu, wyjęła mu ostrożnie z pyska kapelusz i oddała właścicielowi, zgryźliwie dogadującemu i wykrzykującemu na „bezczelność ludzi, prowadzących psa na smyczy".

Zaczerwieniona, bliska płaczu nie przeczyła ani usprawiedliwiała się ze stawianych jej zarzutów. Drżącemi ustami dziękowała Tomaszowi za pomoc.

Zbagatelizował przysługę, powiedział kilka zdawkowych komplementów zmartwionej, zawstydzonej nieznajomej i ruszył swoją drogą.

Panienka ze złością targnęła kilkakrotnie linką, uderzyła nią psiaka po pysku i szepnęła do siebie wśród łkań tłumionych:

— Och, Henryku, za djabła wyszłabym, nietylko za ciebie!...

Tomasz już przy bramie wejściowej obejrzał się za nią i uśmiechnął z politowaniem. Stała ze spuszczoną głową, trzymając psa za linkę i wycierając chusteczką spoconą twarz.

— Śliczne biedactwo — pomyślał ze współczuciem, wychodząc na ulicę.

— — — — — — — —

Po zabawie z kolegami, leżąc już w łóżku, w swej wygodnej, urządzonej z gustem sypialni, Tomasz ziewnął szeroko, rzucił na fotel przeglądaną książkę i zamykając oczy do snu pomyślał z przyjemnością o spotkanej w parku panience.

— Ładna bestyjka z tej małej...

Rano, na tacy ze śniadaniem, przynoszonem mu zazwyczaj do łóżka po nocnych wycieczkach, leżał do niego list.

Z zaciekawieniem otworzył kopertę.

Pisał jego dawny korepetytor, obecnie docent uniwersytetu, z którym łączyły go przyjazne stosunki.

Obydwaj mieli zamiłowanie do historji naturalnej, do badań i podróży, co stanowiło główną nić, wiążącą ich ze sobą.

Każdych niemal wakacyj wyruszali razem pieszo na wycieczkę krajoznawczą w góry i lasy.

Potem stracił go z oczu.

Wojna rozdzieliła ich całkowicie.

A dziś to pismo.

Profesor, — gdyż, oprócz docentury, uczył botaniki i zoologji na pensjach — donosił, że w celach naukowych stara się o stypendjum na podróż do puszcz brazylijskich, dla przeprowadzenia tam badań nad przyrodą tamtejszych lasów dziewiczych, by przywieźć stamtąd okazy różnych gatunków roślin, owadów i płazów.

Proponuje Tomaszowi, by mu towarzyszył, jeżeli jeszcze nie zatracił w sobie tej żyłki podróżniczej.

Z wielkiej uciechy Tomasz podskoczył na łóżku, aż kawa rozlała się szeroką strugą na kołdrę.

— Jaki zabawny ten Adam! On się jeszcze pyta, czy ja pojadę! —

Czuł się swobodny i wolny jak ptak!

Cały świat stał przed nim otworem.

* * *

Rodzice przyjęli wiadomość o jego projektowanej podróży do Brazylji niechętnie, bez entuzjazmu.

Ojciec wolałby widzieć go siedzącego u siebie w biurze i obznajmiającego się z tajemnicami prowadzenia pomyślnie prosperującego interesu, zamiast włóczącego się po dżunglach brazylijskich bez żadnej materjalnej korzyści.

Matka, zwyczajnie jak matka, marzyła, żeby jedynak ożenił się z wybraną mu przez nią dziewczyną i żeby jak najprędzej dał jej wnuków do pieszczenia i do przeżywania na nowo dzieciństwa własnego jedynaka...

Tomasz ojcu obiecał, że po powrocie zabierze się sumiennie do pracy.

Matkę pocieszał, przyrzekając:

— Gdy wrócę, to się zaraz ożenię, a może nawet z podróży przywiozę ci za synową jaką smagłą kreolkę. A może mama wolałaby murzynkę? — żartował dalej. — Od czasu Józefiny Baker są one w modzie i podobno, dobrze wymyte i starannie natarte perfumami, są nawet przyjemne w dotknięciu.

Oburzyła się matka na te propozycje i długo musiał całować jej ręce i przymilać się, nim się udobruchała, i wrócił jej dobry humor.

Wychodząc na miasto przypomniał sobie znów przygodę w parku i zmartwioną twarz nieznajomej panny.

— Niczego dziewczynka... ładne miała oczy, — przemknęło mu przez myśl.

* * *

Od wyjazdu Isi nie chodził już w rannych godzinach do parku. Spacery w Łazienkach straciły dla niego cel i urok, a może podświadomie unikał wspomnień nieprzyjemnych i powrotu uczucia wstydu, zmieszanego z wyrzutami sumienia.

Mężczyźni są pobłażliwi dla swoich wykroczeń, usprawiedliwiają je chętnie, bagatelizują, lecz nie lubią, gdy one potem wracają widmem wspomnień obudzonego sumienia.

Dość, że Tomasz zaniechał swoich rannych wycieczek i dlatego nie spotkał już nieznajomej panienki ani razu, nie ujrzał nigdzie i zapomniał wkrótce o całej zabawnej przygodzie.

No, stary, jak się masz? — wołał na profesora Stawińskiego Tomasz, widząc go wysiadającego z wagonu.

Ucałowali się serdecznie.

Dojrzałość zatarła różnicę ich wieku, i profesor Adam, trzydziestosześcioletni mężczyzna, wyglądał mało co starzej od dwudziestoośmioletniego Tomasza, a przewyższał go urodą.

Ciemny blondyn, wysoki, postawny, o jasno-orzechowych oczach i miłym uśmiechu przyciągał serca kobiece jak muchy na miód.

Tomasz słyszeć nie chciał, aby Adam zatrzymał się w hotelu.

— Twój pokój stoi niezamieszkały w dalszym ciągu, a musimy się nagadać.

— — — — — — — —

— Państwo Szelestowscy przywitalli go życzliwie, chociaż z pewną jakby urazą.

Czuli do niego żal, że porywa im syna w tak odległe kraje.

Pani Szelestowska nie wytrzymała.

— Mam do pana urazę, że mi pan syna porywa i to tak daleko.

— Nic mu się nie stanie, proszę pani — uspokajał ją, — a dobrze mu zrobi taka podróż. My, Polacy grzeszymy brakiem zainteresowania się światem. Nasi bogacze znają tylko Rzym, Wiedeń, Berlin, Paryż, a najdalej Londyn. Na palcach można policzyć tych, co, mając tysiące do wyrzucenia, byli w Indjach, Japonji, Chinach, Ameryce. Jadą tam tylko nędzarze w poszukiwaniu chleba, ale nikogo z zamożniejszych sfer już się tam nie spotka. Za to znają ich wszystkie spelunki Paryża, do których żaden z szanujących się Francuzów nie zajrzy. Tracą tam zdrowie i pieniądze nasi panicze, zamiast wykorzystać możność i rozszerzyć swój widnokrąg.

— Kto np. był w Brazylji? — Księża, no i członkowie konsulatów — a przecież tam jest pół miljona osadników Polaków. Co my wiemy o Brazylji?

— Nic prawie!

— A ilu to paniczyków siedzi w Paryżu, wydając dziesiątki tysięcy na — mówiąc delikatnie — półświatek, murzynki i mulatki, ilu z nich nabawi się chorób i brzydkich nałogów, które robią z nich idjotów, lub im życie skracają... — zapalił się.

— A nasze obywatelstwo, mówię o przeciętnem...

— Siedzi sobie taki pan na kilkudziesięciu włókach, dobrze je, dobrze pije, baraszkuje od czasu do czasu z dziewczętami folwarcznemi, wyjeżdża do Warszawy i tu przegra lub przehula kilka tysięcy, i „syt chwały," wraca do siebie.

Źle chowamy synów. Czy bogaty, czy biedny u nas ma tylko jedno na myśli, najprymitywniejsze zadowolenie zmysłów. Poza to prawie żaden z nich nie wybiegnie nigdy w wolnych chwilach od przymusowych zajęć nawet myślą. A lektura! Książki o treści poważniejszej zostawiają profesorom i nauczycielom.

Trzeba wpajać w młodych ludzi, że jest jeszcze świat cały z czarami przyrody, jest w każdym zakątku świata tyle cudów tajemniczych, wszędzie swoista kultura.

Nie śmiała oponować pani Szelestowska, tem bardziej, że dodał jakby na osłodę:

— Z Tomasza natomiast może pani być dumna.

Poczerwieniał lekko Tomasz, przypomniawszy sobie noce spędzane w podejrzanych lokalach, przygodne awanturki i tyle czasu zmarnowanego bezczynnie...

— — — — — — — —

Przed odjazdem ostatni wieczór spędzili w kawiarni. Profesor Adam patrzył się krytycznym wzrokiem na tłum warszawiaków, z upodobaniem przesiadujących po parę godzin dziennie w dusznej kawiarni, gdzie dym papierosów mieszał się z wonią perfum i szminki.

— Patrz, jaka tam siedzi przystojna, pikantna brunetka...

Profesor obejrzał się i wydął pogardliwie usta.

— Nie podoba mi się, nie lubię tego rodzaju kobiet. Ich pikanterja to poprostu najzwyklejsze rozwydrzenie. Popatrz się na te kobiety — siedzą tu i myślą o uwodzeniu dla rozrywki, dla sportu, albo nawet dla zarobku. Oszukują swoich mężów, umawiają się na schadzki... Zresztą to samo robią mężczyźni. Przyjrzyj się tylko im — ich spojrzenia są równie nieczyste, jak ich myśli.

Gdy to mówił przeszła koło ich stolika smukła szatynka; w ruchach jej było coś niepokojącego. Kobieta spojrzała na profesora i przeszła koło niego tak blisko, że suknia jej otarła się o jego ubranie. — Profesor zarumienił się, zdenerwowanym ruchem przetarł czoło i wstał od stolika.

— Chodźmy — rzekł.

Oho — pomyślał sobie Tomasz — a jednak Warszawa zaczyna być niebezpieczną dla mego uczonego moralisty...

— — — — — — — —

Wyjazd profesora odwlekał się, gdyż opóźniało się z wypłatą przyznanego mu stypendjum. To też Tomasz wyjechał pierwszy i miał czekać w Rio de Janeiro na swego przyjaciela.

Tomasz stał się po paru dniach podróży jedną z najpopularniejszych postaci wśród pasażerów tego okrętu. Do Brazylji jechało zaledwie parę osób; resztę stanowili bogacze europejscy, uciekający na Maderę i wyspy Kanaryjskie przed zimnem Europy. Na statku znajomość zawiera się szybko i choć są one przeważnie przejściowe, tem łatwiej przychodzi się do towarzyskiej poufałości i swobody w tem życiu okrętowem pasażerów wyższych klas, których podróż jest tylko jednym ciągiem rozrywek. Tomasz ze swem usposobieniem poczuł się tu jak ryba w wodzie i nim okręt dojechał do Lizbony, poznał wszystkich i bawił się ze wszystkimi.

Flirtował zacięcie z Francuzkami i Angielkami, zawzięcie grał w bridża z ich mężami i prowadził ożywione dyskusje zarówno w towarzystwie męskiem jak damskiem. Podobał się ogólnie.

Uśmiechały się do niego starsze panie, które zrezygnowały już z praw młodości, szczerzyły złotem plomb poprzetykane zęby te, które zrezygnować z młodości nie chciały, wabiły zalotnie a obiecujące młode mężatki, wdowy i panny.

A on odwzajemniał się wszystkim, uśmiechając się z uszanowaniem do starszych pań, przyjaźnie do średnich, a poufale i znacząco do młodych.

„Tom" lub monsieur Tom był nieodzowny i niezastąpiony przy każdej zabawie.

Znał nieźle język angielski, francuskim władał jak swoim, grał na fortepianie, śpiewał, deklamował, no i kradł całusy z ukarminowanych usteczek z wprawą zawodowego „złodzieja miłości".

Z żalem dopływały do miejsc swego przeznaczenia śliczne i eleganckie mademoiselles i misses, madamy i mistresses, młodzi ludzie i poważni businessmeni, powiewając chusteczkami na pożegnanie temu miłemu Polakowi; pustoszały kabiny, opustoszał prawie pokład, sale zaległ smętek, gdy minęli wyspy Kanaryjskie. Nieliczni pozostali pasażerowie snuli się osowiali po kątach, spoglądając z nudą i pewnym lękiem na bezbrzeżny ocean, który rozpościerał się przed nimi, cichy, spokojny, a zdradliwy i tak niebezpieczny.

Jeszcze dziewięć dni na łasce potężnych fali groźnej, bezgranicznej toni.

— — — — — — — —

Tomasz, gdy ostatnia łódź odpłynęła do portu, westchnął smętnie, z niechęcią odwrócił oczy na pokład i prawie że krzyknął z radości na widok wysmukłej, jasnej postaci dziewczęcej, która stała tuż obok niego.

— Pani jedzie dalej? — zawołał po francusku.

Odpowiedziała mu po polsku:

— Do Rio de Janeiro.

Oniemiał wprost z wrażenia; dotąd się przed nim, ani zresztą przed nikim, nie zdradzała ze swą narodowością.

Więc ta „tajemnicza księżniczka", jak ją nazywano na statku, to polska panieneczka, to jego współrodaczka!

Zaczęła się rozmowa, lody zostały przełamane, a mimo to nie wdzięczyła się do niego, nie dopuszczała do zbytniej poufałości, tak obecnie modnej.

Nie była rozmowna, ani zwierzająca się.

Nie należała ona do typu wiecznie roześmianych, szczebioczących, plotących o byle czem dziewcząt, bezmyślnych laleczek. Nie zdradzała też najmniejszej ochoty zwierzania się komukolwiek ze swych czysto osobistych spraw. Zachowanie jej cechował w najwyższym stopniu umiar. Miała w sobie coś z tajemniczości księżniczki z bajek — jak mówił sobie Tomasz — tajemniczości, która tak pociąga, tak zaciekawia, a której zbyt nowoczesne kobiety są pozbawione.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

ZAPYTANIA

„Medyk ze Lwowa" zapytuje „Lenkę", czy przypadkiem nie współpracowała z warszawskiem „Do Re Mi"? Równocześnie przesyła pozdrowienia „Etjopce" i donosi, że zainteresowała go bardzo: „Wesoła Irutka", „Dzika Cyganka", „Beztroska Wiśka" i „Dziewczę z krainy burz". Czy wymienione Panie zechciałyby nawiązać z „Medykiem" korespondencję? Jeżeli tak, niech nadeślą listy na moje ręce.

WIERSZ NARAZIE NIEAKTUALNY

P. Tadeusz R. z O. Wierszyk „Brzozy" zamieszczę w „Moich Powieściach" dopiero za kilka tygodni, gdyż narazie jest nieaktualny. Drugi wierszyk do druku wogóle nie pójdzie.

Nadesłany krajobraz jest ładny i miły, lecz ze względów technicznych, w naszym tygodniku reprodukowanym być nie może.

Za pozdrowienia bardzo Panu dziękuję i ślę ich również moc. Dalsze listy Pana będą mile widziane.

ZA DOBRE, MIŁE SŁOWA — DZIĘKUJĘ!

„Rozlańczona - rozśpiewana Pomorzanka". W wolnej chwili przypomniała sobie Pani o mnie i skreśliła do mnie kilka dobrych, miłych słów. Dziękuję za nie bardzo! Proszę o dalszą pamięć.

„Komunikaty" podaję:

„Pensjonareczko"! znamy się? Pozdrowienie od Marylki R.

„Złotemu Jabłku" dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam.

Miłe pozdrowienia załączam dla „Blondynka w mundurze."

LIST Z WAWELSKIEGO GRODU

„Kwiat z Hawai". Witam Panią z radością i przyjmuję do „Krainy". Ponieważ list Pani jest bardzo miły, oddaję go do przedruku. Powie on nam więcej, niż ja zdołałabym to uczynić:

„Tu ktoś nieznany z Krakowa. Będąc w odwiedzinach u mej koleżanki, poznałam u niej kochaną gazetkę w postaci „Moich Powieści". Zjednały mnie odrazu i dlatego też zwracam się do Pani z prośbą o przyjęcie i mnie pod swe opiekuńcze skrzydła.

A teraz czuję, że trzeba się przedstawić:

Dziewczynka średniego wzrostu, szatynka o czarnych, dużych oczach. Lat mam niewiele — skończyłam dopiero 18-cie wiosen. Ogromnie chciałabym znaleźć kogoś, z kim mogłabym sobie miło i rozsądnie pogawędzić, ot tak prosto i serdecznie."

CIESZĘ SIĘ

„Uśmiechnięta Blondynka". „I ja pragnę należeć do „Krainy szczerości." Jestem wysoką dość szczupłą blondynką o dużych, fiołkowych oczach i uśmiechniętej twarzy. Jeżeli ktoś do mnie napisze, odpowiem mu z prawdziwą przyjemnością."

Niektóre zdania z listu Pani zamieściłam w tym celu, aby wszyscy Sympatycy poznali Panią i napisali do Niej kilka słów. Na zapowiedziany dłuższy list i fotografję, cieszę się bardzo. Serdecznie pozdrawiam.

„BEN-ALEMU" W ODPOWIEDZI

„Ben-Ali." Serdecznie dziękuję Panu za pozdrowienia, również w imieniu całego zespołu redakcyjnego.

Pisze Pan, że korespondencja z Sympatykami przynosi Panu dużo zadowolenia i satysfakcji. Człowiek o tak refleksyjnym usposobieniu, jak Pan, zawsze odnajdzie we wszystkiem ciekawe i interesujące strony, dlatego rozumiem zadowolenie Pana. Łączę wyrazy sympatji i szczery uścisk dłoni.

PIERWSZE MARZENIE O WIOŚNIE

„Maleńka Tajemnica" napisała w pewien śnieżny dzień ten oto list:

„Śnieg pada taki biały, pulchny, a wiatr igra z nim dowoli, zawodząc przytem i hucząc. Jedna po drugiej wysnuwa się melodja, a ja wpatruję się w wirujące płatki, wsłuchuję się w granie wiatru, a myśl moja pędzi do Żnina, do jednej Kochanej, Złotej Pani, która przygarnia serca z całej Polski, tak, jak ziemia zmęczone płatki śniegu.

Pozatem przenoszę się w inny świat, pełen bajek i czarownych upojeń.

Już myślę o wiośnie, która spływa na świat urocza i pełna czarów.

Pobudzi do życia nowego, weselszego, pełnego nadziei. Pośród kwitnących bzów i jaśminów jedni będą śnić złotą nić szczęścia, a dla innych może wiosna wywoła jakieś przykre i bolesne wspomnienia.

Ale co mi przyszło do głowy pisać o wiośnie, gdy za oknem biało i zimno? Śnieg pada... i pada...

Niech Kochana Pani nie śmieje się ze mnie, że już marzę o wiośnie, ale to tak słodko wspominać o niej.

Serdeczne pozdrowienia ślę Wujkowi Januszowi, „Blance", „Białej Uajali" i „Niebieskookiemu handlowcowi", „Tajemnicy" i „Giaurowi". „Parysowi II" zasyłam w pomorskie lasy wiosenny uśmiech. Nakoniec zapytuję „Ord Oma", czy mu się podobają okolice Warszawy?

Z góry dziękuję Kochanej Pani za przesłanie pozdrowień i zasyłam Pani tyle całusów, ile płatków śniegu pada w tej chwili."

Dziękuję, Maleńkiej, za tyle serca i proszę o częstsze tego rodzaju liściki.

ECHO APELU „NIMFY Z PUSZCZYKOWA"

„Wenus". Najdroższa! wielką radość sprawiłaś mi swoim liścikiem. Dziękuję za dobre chęci! Nie zapomnę o nich w odpowiedniej chwili i proszę Panią o wypełnienie przyrzeczenia.

Fotografję z uczestnikami polowania może będzie Pani łaskawa nadesłać mi w następnym liście. Chętnie ją sobie zobaczę.

Na balu „Bratniaka" w Poznaniu, w tym roku wyjątkowo nie byłam. Czy będę za rok — nie wiem! Możliwe, że tak. Zawiadomię zresztą Panią.

A teraz zamieszczam kilka słów Pani, przeznaczonych dla „Nimfy":

„Hallo! „Nimfo", tu „Wenus" z Puszczykowa z pod Poznania przesyła Ci kilka słów odpowiedzi na Twój apel: — „Nimfo", jak można na Puszczykowo napisać, że to świat deskami zabity. Nie rozumiem Ciebie. Czyż nie pociąga Cię na wiosnę budząca się przyroda, śliczny las i nie interesują cieszące się wielką popularnością dancingi? Może mogłabym w jakikolwiek sposób rozproszyć twe nudy? Chętnie wpiszę Cię do miejscowego towarzystwa „Sokół" i nauczę Cię różnych robótek.

Ciekawa jestem, czy chodzisz w lecie kąpać się do Warty? Czy wiesz, „Nimfo", że ta osóbka, która przepłynęła 800 m i zajęła pierwsze miejsce na zawodach pływackich w ub. roku, to ja? Zapewnie domyślasz się już kto jestem? Jeżeli nie, czekam na liścik od Ciebie.

Pozdrawiam także i proszę o liściki „Iste-Wenus" i „Arabkę."

NAWIĄŻCIE KONTAKT

„Genjusz" zwraca się w liście swym do smutnych Sympatyków „Krainy":

„Drodzy Sympatycy! komu braknie odwagi do życia, niech napisze do mnie. Każdemu podam zbawienne metody wyleczenia się z cierpiętnictwa. Dla Was, Drodzy i Mili, nie zabraknie nigdy u mnie serca."

Komu ten apel przypadnie do gustu, niech się nie namyśla długo, lecz postara nawiązać kontakt z zrównoważonym i pogodnym „Genjuszem."

(Wierszyki słabe i zbyt częstochowskie.)

TĘSKNOTA

„Beatrice". Przemiła, Dobra Dziewczynko! Żałuję, że nie napisałaś do mnie wcześniej, lecz tak długo zwlekałaś. Czytając list Twój, wydawało mi się, jakobym Cię już dobrze znała i jakbyś była mi bardzo bliską. Masz duże i smutne oczy, maleńkie usta i potrafisz ślicznie marzyć o „królewiczu", który niewątpliwie niedługo już zjawi się na horyzoncie Twego życia. A może ten „królewicz" przeczyta o czem marzy pewna poetyczna Dziewczynka?

„Jestem czasami bardzo smutną, chociaż naogół lubię się dużo śmiać. Czasami marzę o królewiczu", który ma przyjść... Wierzę, że kiedyś go spotkam... Musi być smukły, czarny, smagły, musi być czuły i troskliwy. Musi mieć lekki, melodyjny głos, potrafić szanować kobiety i być dżentelmenem w całem tego słowa znaczeniu. Musi być mądrym i lubieć podróżować. Czekam na niego. Na jego listy, pełne bajek o dalekich krajach, które choć w części zwiedził...

A teraz pozdrawiam „Białą Uajali". Znam Cię bardzo dobrze, bo jestem Wrześnianką i zachwycam się Twoimi wierszykami, Smutna „Biała Uajali".

Czy „Willy" już wyjechał? Hallo, p. Willy! Imię Pana przypomina mi pewną bardzo zabawną sytuację, która się dość dawno temu zdarzyła. Czy zechce Pan do mnie napisać?"

CZEKAM

„Żołnierzyk z Grodu Lecha." List wysłałam — chyba Pan otrzymał przed wyjazdem? Fotografje niewątpliwie się udały, więc czekam na nie.

Pozdrowienia, załączone dla „Samotnej Tuśki z Borów Tucholskich" i „Jagódki z Borów Tucholskich" — przekazuję.

KORESPONDENCJA

„Wesoły Toruniak" to, (jak sam pisze) taki sobie zwykły, szary człowiek, blondyn, zawsze wesoły i zadowolony z życia. Marzeniem jego to nawiązanie skimś korespondencji.

DLACZEGO?

„Liljana z Szwajcarji Kaszubskiej". Z miłą chęcią przyjmuję Panią do naszego grona. Pozdrowienia dla: „Jagódki z Borów Tucholskich", „Samotnej Tuśki z Borów Tucholskich" i „Iucundi agricolae" — przekazuję. Dlaczego liścik Pani tak krótki, czyż na pierwszy raz nie należało więcej nam powiedzieć o sobie? Prosimy się poprawić, „Liljanko."

BRAK ODPOWIEDNIEGO TOWARZYSTWA

„Narcyz". Ciekawa jestem ile miłych listów wpłynie dla Pana, po odczytaniu przez Sympatyków Pańskiego listu. Zapewnie niemało — życzę szczerze!

„W związku z chęcią nawiązania korespondencji, podaję kilka wiadomości o sobie. Jestem szatynem o niebieskich oczach, dość wysokim. Mieszkam w małej mieścinie, gdzie daje się odczuć brak odpowiedniego towarzystwa. Mam tylko jedno, a tem jest okolica bogata w piękne krajobrazy, które z przyjemnością przenoszę na płótno.

Koniecznie chciałbym znaleźć jakąś bratnią duszę. To jest moje gorące życzenie. Kończąc, przesyłam miłutkie pozdrowienia z zacisznego ustronia „Dzikiej Cygance" i „Tycio-Tyciusieńkiej." Szczęść Boże! w dalszej pracy — ślę „Białej Uajali" i „Jadźce z Kujaw."

SAMOTNOŚĆ

„Tibi laus debetur". Łaskawej pamięci Sympatyków „Krainy" polecam następujący apel:

„Pragnę korespondować z bardzo poważną wykształconą i dobrą osobą, płeć obojętna i oczywiście samotną, jak ja... Listy proszę przesłać na ręce p. Zofji pod: „Tibi laus debetur".

WIERSZE ZAMIESZCZĘ

„Kazik z pod Trzemeszna." Wierszyki dość miłe. Zamieszczę je przy okazji.

Pomijając serdeczne i wylane słowa, przesłane pod moim adresem, za które ślicznie dziękuję, podaję w całości list Pana do szerszej wiadomości:

„Pragnę z całego serca nawiązać bliższy kontakt z płcią piękną. Która z Sympatyczek „Moich Powieści" napisze do mnie długi liścik? Ręczę za odpowiedź. Mam lat 23. Lubię ogromnie muzykę (sam jestem również muzykalny), poezję, śpiew. Kocham piękno natury, lubię wycieczki w góry i lasy, jazdę czółnem i szaloną podróż samochodem. Jestem usposobienia trochę romantycznego i wesołego. Lubię niewinne psoty i figle. Jestem 176 cm wysoki. Posiadam szare oczy i bujne ciemno-blond włosy. Mówią, że jestem przystojny i grzeczny. Narazie tyle! Która z Sympatyczek pragnęłaby mnie poznać bliżej, niech nawiąże ze mną wymianę myśli. Moc pozdrowień i uścisków dla wszystkich tych, co echem odpowiedzą na mój apel i prośbę."

NAPISZ ZNOWU

„Basia". Długi list Pani przyjęłam do wiadomości. Rozpisuje się w nim Pani bardzo miło. Szczególnie zajęła mnie przygoda Pani z „Mojemi Powieściami". Proszę być więcej cierpliwą i nie czytać nadprogramowej lektury na lekcjach, gdyż może się Pani narazić. Za poetyczne zwroty listu, przesyłam Pani uznanie. A teraz niech się Pani wypowie:

„Bajko", ślę Ci miłe pozdrowienia. Czy nie znamy się czasem ze zlotu w Spale, gdyż i ja tam byłam?

„Wesoła Marietto" i „Selimanie Paszo", przesyłam Wam także moc miłych pozdrowień. Napiszcie do mnie, dobrze?

Chętnie nawiązałabym korespondencję z „Pays de cocagne" i „Sztubakiem". Czy zgoda?

Osobne serdeczne pozdrowienia ślę: „Marzycielskiemu Brunetowi", „Czarnemu Olkowi", „Wesołemu Kozaczkowi", „Ramzesowi", „Natanowi", „Incundi agricolae" i „Majowemu Chrabąszczowi", od których będę się także spodziewała listu."

Na zakończenie przesyłam Pani wyrazy sympatji i... napisz znowu „Basieńko"!

NAWIĄŻMY LISTOWNY KONTAKT Z „STĘSKNIONĄ HANKĄ"

„Stęskniona Hanka". Pisze Pani, że jest bardzo osamotnioną, więc postaramy się o to, aby życie Pani było trochę urozmaicone. W jaki sposób? Otóż nawiążemy z Panią listowny kontakt. Ja pierwsza to czynię, kto pójdzie za moim przykładem?

CHCIAŁABYM

„Wandzia z B." Obdarzyła mnie Pani wielkiem zaufaniem i wyspowiadała mi się szczerze ze swoich smutków i zmartwień, więc za to bardzo Pani dziękuję. Życzeniem Pani jest odzyskać spokój i równowagę ducha... Niewątpliwie, że życzenie Pani spełni się kiedyś — cierpliwości tylko i wytrwania. Czas, nieoceniony lekarz, zrobi więcej, niż Pani sądzi.

„Nie mam nikogo — nikogo — komubym się mogła zwierzyć i nazwać go przyjacielem" — chciałabym, aby te słowa Pani trafiły do jakiegoś serca i wzbudziły w niem należyty oddźwięk.

MAM NADZIEJĘ

„Zrozpaczona Maryla". Podzielam radość Pani spowodu uzyskania posady i mam nadzieję, że teraz, kiedy już pozycja Pani została zrównoważona, wróci Pani dawna harmonja wewnętrzna i spokój. Wizyta Pani w redakcji ucieszy mnie ogromnie. Czekam więc na wypełnienie przyrzeczeń i ślę moc pozdrowień.

HALLO! HALLO!

„Kanareczek" posyła w szeroki świat swój krótki apel:

„Hallo! Hallo! Czy znajdzie się gdzieś hoża, roześmiana, prawdziwie polska dziewczyna, która zechciałaby zawrzeć sojusz przyjaźni i wzajemną wymianę myśli?

Ślę pozdrowienie „Córce wichru", „Elżuni z Torunia", „Reni", „Zabłąkanej Kukułce" oraz „Zrozpaczonej Maryli."

DZIĘKUJĘ!

„Zilli." Za dobre i serdeczne słowa, zamieszczone na wstępie listu — bardzo Pani dziękuję. Co do „wielkiej prośby", przyrzekam, kiedyś w przyszłości, uczynić jej zadość. Czy zadowolona Pani?

A teraz, ponieważ nikt jeszcze z nas nie zna „Zilli", przedstawiam ją: wysoka blondynka o dużych, wyrazistych niebieskich oczach. Mieszka w małem miasteczku na Kujawach. Bardzo lubi konie, muzykę i taniec.

W ODPOWIEDZI „MOHIKANINOWI"

„Mohikanin." Drogi Panie! nadesłany wierszyk na dzisiejsze czasy nie jest niczem innem, jak przestarzałem, dawno przebrzmiałem echem. Dzisiaj poeci piszą już coraz mniej o „milutkich panienkach" i „zasuszonych w albumie kwiatkach", a zato więcej o rzeczach poważniejszych. W czasie wybujałego romantyzmu, wierszyk Pana byłby na czasie, dzisiaj już nie. Proszę, niech Pan sobie obierze inny temat do wierszyka, mniej sentymentalny, a wzamian więcej życiowy. Łączę szczery uścisk dłoni.

CZY ZNAJDZIE SIĘ DRUGIE SERCE?

„Lutek" przypomina się „Maleńkiej Dzidzi" i śle Jej serdeczny uścisk dłoni. Pozatem pisze:

„Chętnie chciałbym urozmaicić sobie moją szarą, codzienną pracę interesującą korespondencją. Chciałbym odnaleźć serce, któreby było ową Sokratesową „drugą połową". Może w „Krainie" znajdę to, czego daremnie szukałem dotąd po długim i szerokim świecie. Może jest wśród Sympatyków „Krainy" osoba, która tak samo jak ja pędzi w tęsknocie i samotności życie?"

APEL O LIŚCIKI

„Ziemianin" i „Lord-Stephenson", dwaj dobrzy koledzy przedstawiają się wszystkim miłym Paniom:

„Ziemianin" — Jestem średniego wzrostu, ciemnym blondynem o marzących oczach. Usposobienie posiadam wesołe i pełne werwy. Zwolennik muzyki, śpiewu i tańca.

„Lord Stephenson". — Jestem ciemnym blondynem, średniego wzrostu. Mówią, że bardzo sympatycznym. Wielbiciel radja, muzyki, szczególnie wiedeńskich walczyków i sentymentalnych tang. Serce posiadam z radu, czułe na setki kilometrów.

Apelujemy do Czytelniczek „Moich Powieści" o nawiązanie z nami korespondencji."

W ODPOWIEDZI NA MIŁY LIŚCIK

„Dziewczę z Kujaw". Karnawał i śnieg — to rzeczy dzisiaj już nieaktualne, mimo to liścik Pani przeczytałam z prawdziwą przyjemnością. Entuzjazmuje się Pani w nim bardzo miło. Za uściski i pozdrowienia bardzo dziękuję i odwzajemniam się wyrazami serdeczności. Przesyłam także w imieniu Pani pozdrowienia: „Jadzi Leśniczance" — „Szarej Dziewczynce" — „Samotnemu Sokołowi" — „Gladjatorowi" i „Samotnemu Agronomowi".

TRUDNO PAMIĘTAĆ

„Jótek". List wysłałam. Nie przypominam sobie żadnego liściku od „Miłej Zapałeczki", przeznaczonego dla Pana. Być może, że wysyłałam taki, jednakże zapamiętać to jest bardzo trudno, gdyż przez ręce moje przechodzą setki podobnych listów. Bardzo serdecznie pozdrawiam.

Teczka Wujka Janusza

NUĆ MI, PTASZYNO

Nuć mi, ptaszyno, o szczęścia wiośnie,
O wonnych lasach szumiących radośnie,
O pracy ludzkiej twardej, jak złom skały,
I biednych sercach, co szczęścia nie znały.
Nuć mi, ptaszyno, o miłości tkliwej,
Pełnej poświęceń, gorącej, prawdziwej,
O czynach wzniosłych, godnych dłut rzeźbiarzy,
O duszy sierocej, co darmo wciąż marzy.

„Sella Maris."

ŁZY

To,
Co pod powieką
Skrycie
Drży,
By gwiazd mirjady,
Szklane....
To
Łzy,
Palące ślady
Przegranej
Z życiem
Gry!
Kropla za kroplą, słona
Wsącza się,
Wsysa się,
Wwierca,
Gorąca,
Na samo ścieka
Dno
Serca
I kona
Bezgrzesznie....
— — — — — — — — —
O!
Łzy Człowieka...
Łzy śmieszne!

„Manola".

ZAŁATWIENIE SPRAWY

„Stella Maris". Sprawa zdjęć już załatwiona: pozostaną u mnie. Wszelkie „skrupuły" p. „Stelli" są nieuzasadnione i zupełnie zbyteczne.

Co do opinji, wydawanych przeze mnie, ma Pani zupełną rację. Jestem nieraz surowy w ocenie wierszy. Zresztą czynię to pełen najlepszych intencyj... Tam, gdzie wyczuwam brak talentu, usuwam wszelkie złudzenia i gaszę zapał do lichego rymotwórstwa. Czasem zdarzy mi się także, że daję do druku słabszy wierszyk, ale czynię to jedynie dla zadośćuczynienia czyjejś prośby, nie zaś dla wyróżnienia utworu poetyckiego.

Przesyłając Pani powyższą odpowiedź, proszę Ją znowu o parę dobrych i miłych zdań.

Kilka słów „Stelli Maris": „Bardzo mi się podobają wiersze p. Marycha Bińkowskiego. Przesyłam Mu pełne uznanie. Zaabsorbował mnie ogromnie apel „Pilotki K. M." Pragnęłabym z Nią listownie pogawędzić. Musi być szalenie żywiołową osóbką."

WIERSZ NIEAKTUALNY

P. M. M. z Lipin. Wierszyk „Wróć wiosenko..." jest już nieaktualny. Zachowałem go do teczki. Proszę Pana o dalsze utwory i serdecznie pozdrawiam.

HALLO!

„Wilk Morski". Arytmograf zachowaliśmy, prosimy o dalszą współpracę z „Chwilą zastanowienia."

Apel zamieszczam:

„Hallo! „Maleńka Tajemnico"! Dlaczego nie chcesz mi wyjawić swojej tajemnicy? Dlaczego jesteś niedostępną?

Hallo! „Te-Em"! Monseigneur! Zasyłam Panu moje szczere uznanie za pracę."

CIESZĘ SIĘ

„Maleńka Dzidzi". „Tajemnica" powierzona mi na ucho, wzruszyła mnie ogromnie. Obawiam się, że nie zasłużyłem sobie na tyle dobroci...

Bardzo jestem zadowolony, że ból „Maleńkiej Dzidzi" już zmalał i jest nadzieja, że zupełnie przeminie. Cieszę się na tę chwilę, w której rozdzwonią się na nowo słowa radosnego Chochlika.

ŻYCZLIWA RADA

„Elizabeth". Nie, „wierszyki" Pani nie są poezją. Są rymowaną prozą. Czy warto pracować? Owszem, ale nad uzupełnieniem ortografji. Kto pisze błędnie, niegramatycznie, nie może sięgać po sławę. Proszę przyjąć moje słowa jako życzliwą radę, a nie złośliwą uwagę. Daleki jestem od ostatniej. Ślę bardzo miłe pozdrowienia.

Raj kobiet

Fartuszki

Kobieta zawsze powinna odznaczać się wielką starannością i gustem w ubiorze. Powinna pamiętać, że nie wystarcza być pięknie ubraną w teatrze, kawiarni lub na wizycie, ale i w domu, przy zwykłych zajęciach. Niekórym paniom wydaje się to ostatnie trudnem do zrealizowania. Przy ustawicznej pracy w kuchni, ogrodzie to znów pralni, trudno nie poplamić i nie zabrudzić sukienki — twierdzą. Napozór tak jest, ale popatrzywszy głębiej w sprawę, przekonamy się, że możemy z powodzeniem unieważnić to stereotypowo wypowiadane zdanie. W jaki sposób? Bardzo prosty i nieskomplikowany:



Sprawmy sobie dwie szare sukienki z białemi kołnierzykami, które można odejmować do wyprania i kilka fartuszków — gumowych tak szalenie modnych i praktycznych i innych płóciennych modrych lub białych, które możemy własnoręcznie ozdobić haftem.

Do zajęć, przy których łatwo się pobrudzić, załóżmy fartuszek gumowy, który łatwo zmyć ciepłą wodą z mydłem, do prac lżejszych przy kuchni lub w ogrodzie, użyjmy fartuszków płóciennych, strojnieszych. Nie nośmy ich przytem zbyt długo, ale gdy się przybrukają, odłóżmy do brudów. Wypranie fartuszka nie sprawi nam tyle zachodu i fatygi, ile odrazy i niesmaku wzbudzi niekorzystny i niechlujny wygląd zewnętrzny. Miejmy to zawsze na uwadze, że milej jest popatrzeć na panią domu, kręcącą się w swoim gospodarskim światku w czyściutkiej, schludnej sukience i fartuszku, niż w wyplamionej bluzeczce i zatłuszczonym fartuchu. „Jakim cię widzą, takim cię piszą". — mówi stare, proste przysłowie, a jednak posiadające tyle treści i głęboko ukrytego sensu.

M. Z.

DOBRA GOSPODYNI

Za tydzień Święta Wielkanocne. Czas więc już najwyższy pomyśleć o pieczywie. Niżej znajdą Czytelniczki „Moich Powieści" świetne przepisy na wielkanocne babki i bardzo smaczne mazurki:

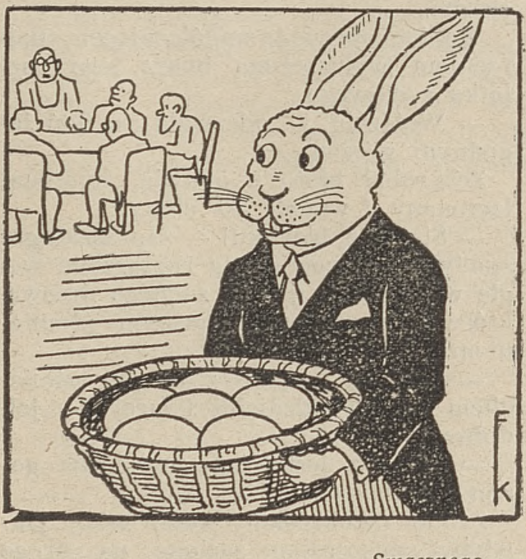
Babki zwyczajne. Cztery litry wygrzanej i przesianej mąki podzielić na dwie części. Do jednej wlać półtora litra letniego mleka i 15 dkg rozpuszczonych drożdży. Gdy rozczyn się ruszy, dodać 30—40 żółtek, ile kto chce, ubitych do białości z 3/4 kg cukru i wyrabiać dalej, aż ciasto będzie odstawało od ręki, masła, wsypać kilka gorzkich utartych migdałów i wyrabiać dalej, aż ciasto będzie odstawało od ręki a pod koniec dodać ćwierć kg obranych rodzynków sułtańskich, ponakładać ciasto do mniejszej połowy w formy wysmarowane masłem i wysypane mąką i postawić w cieple, aby rosło. Gdy się formy wypełnią, wstawić na godzinę do gorącego pieca, a po wyjęciu z form posmarować piórkiem, umaczanem w rozpuszczonem maśle i obsypać grubo miałkim cukrem z wanilją lub rzadkim, pomadkowanym lukrem. (Kto chce upiec jedną babkę, musi wszystkie dodatki odpowiednio zmniejszyć).

Baby podolskie z szafranem. 1 litr przesianej mąki zaparzyć z 3/4 litra wrzącego mleka rozbijając dobrze, aby grudek nie było i w tejże chwili wlać pół litra, zimnego mleka, wyrobić dobrze i odstawić do zupełnego wystudzenia. Wtedy wlać 20 dkg rozrobionych drożdży i kopę żółtek ubitych na pianę w garnku z ciepłą wodą. Gdy się rozczyn ruszy, wsypać trzy litry mąki, trzy ćwierci kg cukru, łyżeczkę soli i wyrabiać ciasto przez całą godzinę. W końcu wsypać 6 dkg gorzkich migdałów utartych na masę, troszeczkę utłuczonej wanilji, pół funta obranych rodzynków, wlać kieliszek spirytusu, w którym namoczyć na dwa dni wprzód trochę szafranu, ubić pianę z 10 białek. wymieszać to wszystko lekko z ciastem, ponakładać do mniejszej połowy w formy wysmarowane masłem i postawić w cieple do wyrośnięcia. Piec powinien być wcześniej napalony, bo baby długo stać nie mogą. Gdy podrosną wstawić je w bardzo gorący piec na godzinę. Wyjmować bardzo ostrożnie, najlepiej na poduszkę, bo łatwo opadają.

Mazurek na białkach. Ubić pianę z 30 białek wymieszać z mąką, wlać 3 dkg rozpuszczonych drożdży i postawić w cieple, niech rośnie. Potem dodać jeszcze 12 dkg cukru i mąki, lecz nie za dużo, aby ciasto było niezbyt gęste, rozwałkować je na stolnicy, rozsmarować po niem pół kg niesłonego masła i złożywszy w koperte, trzykrotnie wałkować, tak, jak na ciasto francuskie. Zrobić cienki mazurek, a gdy trochę podrośnie, posmarować go rozbitem jajkiem, posypać siekanemi migdałami, rodzynkami i grubo tłuczonym cukrem. Upiec w niezbyt gorącym piecu.

Mazurek czekoladowy na kruchym spodzie. Upiec cienki placek z kruchego ciasta, biorąc 1/4 kg masła, 1/4 kg mąki, 1/4 kg cukru i jedno żółtko, a po upieczeniu posmarować następującą masą: 4 jaja utrzeć z 1/4 kg cukru, 1/4 kg tartej czekolady, łyżką mąki· wymieszać z 12 dkg szatkowanych migdałów i wstawić na 10 minut do letniego pieca.

Placek serowy, bardzo dobry bez spodu. Młody, nieprzegrzany, a dobrze odciśnięty i niekwaśny ser utrzeć na tarku tak, aby go było 2 litry, następnie przefasować przez sito, a potem włożyć do serwety i wałkować jak masło. Jeszcze lepiej i krócej przemaglować go na maglu, tak, jak bieliznę przez 5 do 10 minut. ćwierć kg deserowego, sklarowanego masła po wystygnięciu utrzeć w donicy na pianę, wrzucić do niego ser, pół kg miałkiego cukru, laseczkę utłuczonej i przesianej wanilji i łyżkę ugotowanych i przesianych przez sito kartofli. To wszystko ucierać razem, jeszcze pół godziny, poczem połowę rozsmarować na blasze z otwieranym bokiem lub w tortownicy wysmarowanej maslem i obsypanej mąką, przełożyć cykatą pokrajaną w cienkie plasterki, a na wierzch dać drugą połowę sera i piec w wolnym piecu blisko przez godzinę. Po wystygnięciu polukrować lukrem pomadkowym wedle upodobania.



Smacznego . . .

Świat i życie

Psychoza samobójstwa w Japonji

W Atami, na „japońskiej Riwierze",, tam, gdzie się kończy żółty piasek plaży osiadły przez niemniej żółtych ludzi w kolorowych kostjumach, wznosi się ku górze prostopadła skała, na wysokości paruset metrów.

Na skale widnieje jedyny w swoim rodzaju napis: „Samobójcy! Zatrzymajcie się! — Zastanówcie się jeszcze przez chwilę: zaczekajcie. Zwróćcie sie do naszej misji!".

Jest to ostrzegawczy plakat, zredagowany przez misjonarzy chrześcijańskich, którzy rozpoczęli w Atami energiczną walkę z plagą samobójstw.

Japończycy chętnie rozstają się z życiem. Ciężkie położenie materjalne, brak pracy, zadużo jak się to u nas mówi, gęb do żywienia, jest sprzyjającą okolicznością do skrócenia sobie doczesnych mąk.

Główny jednakże kontyngent samobójstw stanowią ci którzy rozstają się z życiem z powodu nieporozumień miłosnych. Lecz tego rodzaju samobójstwa z miłości w „kraju kwitnących wiśni" są zupełnie czemś innem, aniżeli zabójstwa w Europie.

Japonja nie zna prawie pojedyńczych samobójstw z miłości popełniają je włącznie pary. Tego rodzaju desperackie czyny noszą w Japonji specjalną nazwę „shinju". Najczęściej popełniają samobójstwa pary narzeczonych, których rodzice, ze względu różnic społecznych czy położenia finansowego nie zezwalają na małżeństwo. Pary takie opuszczają miejsce rodzinne, wyjeżdżają do Tokio, gdzie przez parę dni używają w pełni życia, wydając do ostatniego jena, zabrane z domu pieniądze. Gdy zostają już bez środków do życia, popełniają samobójstwo.

Do niedawna najmodniejszym sposobem pozbawienia się życia było w Japonji związanie się łańcuchem i rzucenie się do morza ze stromej skały. Obecnie nastąpiła pod tym względem pewna modernizacja. Para desperatów staje na szynach tramwajowych i przytknąwszy drut do miedzianych przewodów elektrycznych — umiera porażona prądem.

Mieszkańcy miast chętnie umierają zdala od gwaru i zgiełku życia, gdzieś na wsi, na odludziu. Zazwyczaj wybiera się w tym celu jakąś wodną miejscowość kąpielową lub okolice o pięknym pejzażu. Japończycy dbają o piękne tło dla swego romantycznego samobójstwa we dwoje. Samobójstwa w pokojach hotelowych, ubikacjach itp. zamkniętych lokalach. jak się to często zdarza u nas w Europie w Japonji są prawie nieznane.

Samobójstwa stanowią epidemję niezwykle zaraźliwą. Gdy jakaś gwiazda filmowa lub teatralna popełni samobójstwo, tworzy się cała szkoła naśladowców.

Czasem modnem staje się jakieś miejsce dogodne dla popełnienia samobójstwa. Ostatnio terenem tego rodzaju zdarzeń był krater wulkanu Atana.

Trzydzieści przeszło osób rzuciło się w paszczę ziejącej ogniem góry.

Plaga samobójstw w Japonji rośnie. Brak tam jest najważniejszego hamulca, jaki działa w krajach chrześcijańskich — potępienia samobójstwa ze strony religji. Nauka Buddy nie pochwala samobójstwa. ale i nie potrafi zdobyć się na potępienie go. Japończycy są wychowani w tradycyjnych uznających i gloryfikujących samobójstwo. Słynne „Harakiri" — polegające na rozpruciu sobie mieczem brzucha — to jeden z tradycyjnych dowodów bohaterstwa starej Japonji, dotąd jeszcze uprawiany. (Ostatnie zbiorowe samobójstwa przez „harakiri" — oficerów rewolucji marcowej w Japonji.)

Lud japoński jest przekonany, iż śmierć samobójcza jest zaszczytniejsza i dopóki ten przesąd nie zniknie, plaga samobójstw będzie zabierała młode życia kraju wschodzącego słońca.

Ze świata

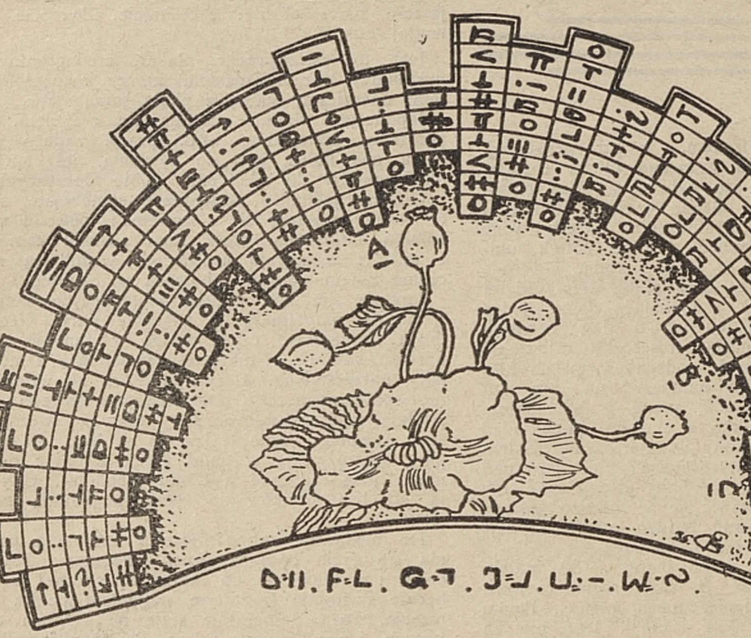
Drugie słońce

Drugiem „słońcem" jest żar wnętrza ziemi, którego przeciętna temperatura równa jest temperaturze słońca. Wykorzystanie więc energji cieplnej ziemi jest sprawą bardzo ciekawą i dużo obiecującą, zwłaszcza, gdy sobie uprzytomnimy, że zapasy węgla w Europie maleją z roku na rok. Niestety, narazie nie można jeszcze marzyć o użyciu do celów ludzkich najgłębiej ukrytej energji, można natomiast zadowolić się bliższą nas energją, drzemiącą na dnie wulkanów. W pobliżu miasta Voltera we Włoszech znajduje się zakład, w którym olbrzymie kotły parowe ogrzewane są gazami, wydzielanemi przez wulkan. Zakład ten „wulkaniczny" porusza dynamo-maszyny i tramwaje wielu miast w promieniu 100 km. Podobny zakład, ale na większą skalę powstaje w Guatemali. Po ujarzmieniu wulkanu przyjdzie kolej i nadużycie żaru ziemi w okolicach pozbawionych wulkanów. Pierwszym krokiem do tego będzie umiejętność wywiercenia otworów conajmniej 5 km. głębokości, bo jak wiadomo, o każde 30 metrów wgłąb powłoka ziemska jest o 1 stopień C. cieplejsza, a więc w głębokości około 3 km. woda przekształcałaby się w parę, a na głębokości 5 km możnaby już otrzymać ilości ciepła, któreby łatwo wprawiły w ruch silniki fabryczne. Najgłębsze wiercenia w Stanach Zjednoczonych wynoszą około 2300 metrów, trzeba więc tylko, żeby się dwukrotnie „zgłębiły".

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

ul. F. Gałecki — Głowno



Hallo! Sympatyczki „Krainy Szczerości"! W rzędach pionowych, wyżej zamieszczonego logogryfu, odnajdziecie swoje pseudonimy. W celu ułatwienia odgadnięć, podaję trzy pomocnicze pseudonimy: *A.* Główna postać w powieści (rodzaj żeński). *B.* Najpracowitszy owad. *C.* Inaczej zadumana. Pod zadaniem część liter, równających się znakom. (Każdy znak w polu, równa się literze).

S Z A R A D A

nad. Irena Wiechujówna

W tej szaradzie *pół całości*
Pazurki wyciągnie ci w złości;
A *druga połowa* dziubek otworzy,
I wciąż gaworzy...
Zaś *pierwsza trzecia* to sukienka,
Nie nosi jej jednak żadna panienka.
Kto? No, to zgadnąć trzeba,
Inaczej nagrody się nie da.
Drugie zaś i *trzecie*
W rachunkach znajdziecie,
A wspak obrócone budżet wyrównuje,
Gdy gotówki brakuje.
A *całość?* — napewno spytacie
Jakie ma znaczenie?
Sami wyszukać raczcie,
Bo Wam nie wymienię.

Za prawidłowe rozwiązanie logogryfu, autor ofiaruje 25 oryginalnych wizytówek. Oprócz tego redakcja wyznacza dwie nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 10 kwietnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 12 „Moich Powieści": Krzyżówka sylabowa: Poziomo: 1. Luka 2. Kupon 3. Malina 4. „Kredo" 5. Turek 6. Roman 7. Mali 8. Wota 9. Panna 10. Kanapa 11. Misa 12. Kara. Pionowo: 13. Mokre 14. Worek 15. Dorota 16. Kama 17. Kasa 18. Lica 19. Bona 20. Kuna 21. Paka 22. Tulipan 23. Borek 24. Nawał. Bilety wizytowe: Bruksela, Drezno, Hamburg.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Walerjan Nowicki — Kórnik, Wacław Bultrowicz — Gniezno, Djonizy Janicki — Gniezno, Kazimiera Czerniewiczówna — Lidzbark, Jadwiga Glapianka — Bydgoszcz, Stefan Śledzikowski — Gdynia, Józef Zarębski — Osie, Agnieszka Leporowska — Łagiewniki, Janusz Obuchowicz — Włodzimierz, W. Laskowski — Przemyśl, Adam Rysiak — Otwock, Józef Silski — Tuchola, B. Wesołowski — Włocławek.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Agnieszce Leporowskiej z Łagiewnik i Wacławowi Bultrowiczowi z Gniezna.

OJCIEC

Nowelka

Pustą drogą szedł potykając się, mężczyzna chudy, obrośnięty na twarzy, siny z zimna, w brudnych łachmanach zaledwie okrywających ciało.

Wyglądał jak upiór czarny na tle śnieżnego krajobrazu. Dziurawe obuwie grzęzło w błocie. Włosy, do pakuł podobne, wymykały się z pod kapelusza koloru sadzy.

Z tobołkiem na plecach opierając się na sękatym kiju zmierzał ku widniejącej w oddali wiosce.

Niebawem komin pierwszej chaty strzelił przed nim czarnym pióropuszem dymu.

Ogarnąwszy wzrokiem stodołę, stajnię, całe obejście folwarku, nieznajomy pchnął nieśmiałym ruchem bramę podwórzową i zapukał dyskretnie do drzwi domostwa.

Siedząca wewnątrz chaty przed kominkiem kobieta, obejrzawszy się, drgnęła z przestrachu na widok upiornego oblicza włóczęgi.

Położywszy robotę na krześle poszła jednak otworzyć drzwi.

— Przepraszam — odezwał się dotykając kapelusza na przywitanie — czy nie mógłbym panią prosić o kawałek chleba.

Kobieta obrzuciła współczującem spojrzeniem wyniszczoną twarz tego rozbitka życiowego.

— Wejdźcie! — odezwała się doń łagodnym głosem.

Zeskrobał błoto z obuwia, strzepnął łachmany i wszedł do chaty.

— Siądźcie, biedaku! — zapraszała gospodyni — rzucając na rozżarzone węgle w kominku naręcz suchego drzewa, które buchnęło wnet jasnym płomieniem.

— Ach! — szepnął z błogim uśmiechem na wynędzniałej twarzy — jak dobrze!

— Zdaleka jesteście? — spytała gospodyni.

Zrobił nieokreślony ruch ręką, jakgdyby spuszczając zasłonę na drogę swego życia pełną tajemnic, tragedyj, dramatów być może.

Kobieta podała mu dużą kromkę chleba z kawałkiem krowiego sera i szklankę mleka.

Wypił jednym haustem chciwie.

Lekki rumieniec zabarwił jego wystające policzki.

— Przepraszam panią — szepnął — jak się nazywa ta miejscowość?

— Jesteście w folwarku Tronchet'a — odparła gospodyni.

Włóczęga drgnął.

— Folwark Tronchet'a? — powtórzył. — Sąsiednia wieś w takim razie, to Coussy-les-Rois chyba?

— Tak jest. O trzy kilometry stąd.

— Nie przypuszczałem, że już tak blisko... — powiedział jakby do siebie.

— Tam zdążacie? — spytała kobieta.

Podniósłszy głowę ku belkom wpił w nie wzrok pełen rozpaczy.

Nim gospodyni przejęta jego bólem zdobyła się na nowe pytanie, drzwi otworzyły się z hałasem i na progu stanął kilkunastoletni chłopiec z miną zuchwałą, policzkami różowemi od zimna, owinięty w płaszcz za duży na niego.

— Jesteś, Luizet? — przywitała go kobieta.

— Tak, pani gospodyni.

— To nasz pastuch — objaśniła kobieta włóczęgę nie spuszczając oczu z dziecka.

— Ile masz lat, mały? — zagadnął chłopca cichym głosem.

— Co wam do tego? — rzucił pastuszek odwracając się wzgardliwie od mężczyzny w łachmanach.

— No! No! Luizet! — upomniała go gospodyni — nie trzeba źle obchodzić się z nim dlatego, że jest nieszczęśliwy.

— Mam dwanaście lat — mruknął chłopiec.

— Dwanaście lat... — powtórzył włóczęga w zamyśleniu — skąd pochodzisz? — indagował pastuszka dalej.

— Matka moja mieszka w Coussy.

— Jeanne Rataud — wyszeptały mimowoli drżące usta nieznajomego.

— A ojciec twój? — spytał bardzo cicho.

— Mój ojciec?... Nie wiem, gdzie jest? Za górami...

— Poznałbyś go?

— Tak dawno nie widziałem go... Kochał mię bardzo. Ale upijał się i matka płakała często z tego powodu. Uciekł wreszcie z inną kobietą i nie wrócił już do domu. Nie chciałbym go widzieć teraz.

— Masz słuszność — odparł włóczęga głębokim głosem i wstawszy z wysiłkiem zarzucił swój tobół na plecy.

— Bóg zapłać, zacna pani — odezwał się do gospodyni — dziękuję wam całem mojem nieszczęśliwem sercem.

— A ty, mały — dodał zwracając się do pastuszka — czy zechcesz podać mi rękę?

— Jeżeli zrobi to wam przyjemność... — bąknął malec wyciągając dłoń ku włóczędze, który zatrzymawszy ją chwilę w swojej z głową nisko opuszczoną wyszedł z chaty niepewnym krokiem.

Gospodyni wyjrzawszy przez okno śledziła oddalającego się w deszcz i szarugę. Wydało się kobiecie, że ocierał oczy rękawem.

— Wiesz, Luizet — odezwała się do pastuszka — założyłabym się, że ten człowiek...

— Co takiego, pani gospodyni?

— Nic, nic, moje dziecko — odparła wymijająco trzęsąc smutnie głową.

Wtem krzyknęła widząc włóczęgę padającego na lodowatą skorupę podwórza.

Oboje z pastuszkiem pobiegli mu z pomocą. Lecz nieszczęśliwy człowiek wyzionął już ducha.

H. L.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 82)

Nie, — nie chciała sprawić nowej troski tej szlachetnej rodzinie, której i tak już dosyć zrobiła hańby. Postanowiła opuścić miasto. Przeszukała wszystkie kieszenie, — nie znalazła jednak ani jednego halerza. Potrzebowała pieniędzy na życie.

Przechodzili obok niej mężczyźni, którzy obserwowali ją pożądliwym wzrokiem. Jeden z nich odważył się nawet na cyniczny ruch, wyjął z kieszeni złotą monetę i rzucił w powietrze, jakby chciał powiedzieć: „Złap, i bądź moją!"

Przejęła ją trwoga; pobiegła prosto przed siebie.

Szła dalej piechotą. Minęła całe miasto i wśród pól poczuła się nieco spokojniejszą. Postanowiła iść naprzód przez pola i łąki.

Ach, zaczęła żebrać. Prosiła o kawałek chleba, — otrzymała. Prosiła o łyżkę ciepłej strawy, — pozwolono jej usiąść na progu domu i podano talerz jak zwyklej żebraczce.

Nie skarżyła się, — nie szemrała, brała wszystko z rezygnacją jako ciężką próbę losu i zasłużoną karę, którą zesłały na nią sprawiedliwe nieba.

Do zupy padały jej łzy, — kęsek chleba jadła z trudnością, a myśląc o dziecku i Kazimierzu, była bliską obłędu.

Może była nawet szaloną; w lesie zaczęła krzyczeć, wymawiała głośno drogie nazwiska i wzywała ich pomocy, jakby te ukochane istoty znajdowały się przy jej boku.

Dziczała coraz bardziej, — szła ciągle naprzód, — suknia okryła się plamami, — podarły ją leśne ciernie, — nie zważała jednak na to, — kamaszki ledwo trzymały się na nogach, — skóra pękała, a białe palce pokryły się ranami.

Lola, leżąc na leśnej murawie, podniosła nagle głowę, — w pobliżu było słychać kroki, które zdążały w jej stronę.

Zerwała się na równe nogi, chciała uciekać, — niestety było już za późno, młody mężczyzna przyskoczył do niej, — rozwiany włos spadał mu na czoło, na którem perliły się duże krople potu, — jego twarz zabarwiła się ciemnym rumieńcem. Był to Franciszek, najstarszy syn gospodarza.

„Znalazłem cię!" zawołał młody chłopak, ujmując Lolę za rękę, którą napróżno starała się wydrzeć z silnej dłoni mężczyzny, — „nie, — nie uciekaj przedemną. — Znalazłem cię, teraz nie uciekniesz mi i pozostaniesz przy mnie!"

„Puść mię!" zawołała Lola, „nieszczęśliwy, nie wiesz, co robisz. — Jak śmiałeś mię śledzić! Nie wiesz tego, że tylko ze względu na ciebie opuściłam dom twojego ojca?"

„Ze względu na mnie?"

„Tak, przysięgam ci na Boga: — Nie chciałam okryć hańbą tego domu, który mię przyjął tak przyjaźnie, gdyż byłabym się tego dopuściła, zostając dłużej w waszym domu. Zauważyłam twoje spojrzenia, czytałam, co się działo w twojej duszy; nieszczęśliwy człowieku, ty mię kochasz!"

„Tak, kocham cię!" zawołał Franciszek, „nie troszczę się o twoją przeszłość, — powtarzam jeszcze raz: kocham cię i nie mogę żyć bez ciebie!"

Loli udało się wreszcie uwolnić z rąk Franciszka, — rozpaczliwym ruchem zakryła swoje oblicze.

„Oh, przekleństwo ciąży na mnie", szepnęła cicho, „wszędzie, gdzie się zjawię, przynoszę ze sobą zniszczenie! — W spokojnej duszy tego młodego chłopaka, który może nigdy jeszcze nie kochał, wznieciłam piekielny ogień, — ponieważ nie mogę wysłuchać jego życzeń! Pogardziłby mną, gdyby dowiedział się o mojem życiu! — O, widzę jego straszne rozczarowanie! A jednak nie mogę mu nic powiedzieć, — jestem skazana na wieczne milczenie!"

„Posłuchaj", zawołał Franciszek, stając przed Lolą ze skrzyżowanemi na piersi rękoma, — „Bóg mi świadkiem, nigdy nie pożądałem kobiety, albo dziewczyny. — Widziałem dużo kwiatów, które były warte zachodu, bym się zgiął i wyciągnął po nie ręce. Byłem zawsze wiernym synem względem mojego ojca. Pracowałem dla niego, a i w przyszłości nie chcę zmienić mojego dotychczasowego postępowania. — Każdy człowiek czuje jednak tęsknotę, — wszyscy walczymy o szczęście! — Zobaczywszy cię, pomyślałem sobie natychmiast: to twoje szczęście, — twoja tęsknota, — musisz ją posiąść! — Nie przychodzę do ciebie, jakby to może uczynił inny, który chciałby ci się tylko przypodobać, a później oszukać. Nie, moje zamiare są czyste! — Spojrzyj mi w oczy, a nie dojrzysz w nich ani odrobiny fałszu. A gdybyś mogła zaglądnąć na dno mojego serca, to przekonałabyś się, że należy w całości do ciebie, — tak, tylko do ciebie! — Jestem młody, jednak starszy o dwa lata od ciebie. — Właśnie postanowił mój ojciec, wyjechać do Ameryki razem z całą rodziną, dokąd będzie nam towarzyszył i doktór Haler: — Dlatego proponuję ci: jedź z nami za szerokie morze. W nowym świecie założysz sobie nowe szczęście i nową ojczyznę".

Oczy Loli strzeliły dziwnym ogniem. Ten mężczyzna zrobił jej propozycję, która może zawierała najlepsze wyjście z obecnego położenia.

Do Ameryki, — przegrodzić się morzem od ukochanych ludzi, — których nie było wolno jej widzieć, — którzy wzgardzili nią i wypędzili od siebie! — Tak, to była jedyna droga ratunku, może znajdzie przynajmniej spokój dla swej skołatanej duszy.

Jeżeli jednak pojedzie, to musi pozostać przy boku tego mężczyzny. Będzie ją widział codziennie, — miłosny ogień będzie coraz bardziej potężniał, — jaki koniec to weźmie, — jak się to skończy?

„Namyślasz się!" zawołał radośnie Franciszek, „och, w takim razie wygrałem moją sprawę!"



Zdjęcie, które rzadko daje się uchwycić. Niedźwiedź polarny w ogrodzie zoologicznym w Chicago, który przyjął okazałą postać przed aparatem fotograficznym.

„Wymów to słowo, — daj mi szczęście, — powiedz, że jedziesz z nami do Ameryki!"

„Nie, nigdy!" zawołała Lola, „nie, — nie mogę tego uczynić! Mówiłeś ze mną otwarcie, więc pozwól że i ja będą otwartą względem ciebie!"

Lola położyła obie ręce na ramionach młodego mężczyzny.

Franciszek zadrżał pod tem lekkiem dotknięciem. Pożerał wzrokiem piękną pod cienką zasłoną, zacisnął silnie swoje ręce, tak że paznogcie wbiły się wprost kobietę. Widząc, jak pierś Loli falowała w mięso.

„Wyjawiłeś mi przed chwilą swoją miłość", mówiła Lola. — „Mylisz się, drogi przyjacielu, i oszukujesz siebie samego. — To niemożliwe, byś mię tak prędko pokochał; od naszego poznania płynęło zaledwie kilka godzin".

„Czyż potrzeba na to długiego czasu?" zapytał Franciszek, „wszystko zależy od zrządzenia losu i przeznaczenia! Człowiek mija obojętnie setki kobiet, — nagle jedna wzruszy jego sercem. — Podobnie stało się ze mną. Ty jesteś tą wybraną, którą mi przeznaczyło niebo".

„To nieprawda, drogi, młody przyjacielu!" zawołała Lola, „ogarnął cię zmysłowy szał! — Przyznaj, zapewne chcesz mię przytulić do siebie, — i całować moje usta. Gdy jednak minie czas, wtedy będziesz gorzko żałował, żeś się dał uwieść wdziękom nieznanej żebraczki!"

„O nigdy, — nie pożałuję mojego kroku!" zawołał młody mężczyzna, „jestem przekonany, że moja miłość będzie trwać aż do grobu".

„A nawet gdyby tak było", odparła Lola stanowczym głosem, „niestety nie możemy należeć do siebie".

„Dlaczego? — Boże, może jesteś zaręczona z innym mężczyzną?"

„Gorzej jeszcze, — bom zamężna!"

Franciszek zatoczył się, zbladł i był zmuszony oprzeć się o pień drzewa, by nie upaść na ziemię.

„Zamężna?" szepnął boleśnie, „och, dlaczego nie powiedziałaś tego! Wówczas, — nie, to by nic nie zmieniło, pokochałbym cię nawet jako żonę drugiego! — Wprawdzie to grzech kochać się w cudzej żonie, albowiem w piśmie świętem stoi napisane: „Nie pożądaj żony twojego bliźniego!" — Nie mogę inaczej, — nie mogę!"

„Mój przyjacielu, nie czyń sobie żadnych wyrzutów", odparła Lola, „mój mąż wypędził mię ze swojego domu. O, nie pytaj i nie badaj! Wierz mi tylko, że nie jestem godną ciebie! — Na świecie tyle dobrych i pięknych dziewcząt, — wybierz z nich jedną, albo zaczekaj, aż przybędziesz do Ameryki".

„Chcę tylko ciebie!"

„Biedny", szepnęła Lola, głaszcząc ręką jasne włosy zrozpaczonego chłopaka, „lituję się nad tobą! — Słuchaj, Franciszku, pożegnajmy się tu na tem miejscu. — Wprawdzie byłoby to dla mnie wielkiem szczęściem, gdybym mogła pojechać do Ameryki i rozpocząć tam nowe życie. Nie mogę jednak pozostać obok ciebie, gdyż inaczej byłbyś nieszczęśliwy przez całe twoje życie".

„Gorzej mi będzie, jeżeli odejdziesz odemnie! Mój ojciec nie będzie miał ze mnie żadnej pociechy. Zostanę melancholikiem i posępnym, zamkniętym w sobie człowiekiem, — może stracę ochotę do pracy, — zacznę pić, jak Józef z naszej wsi, ponieważ dziewczyna, którą kochał, złamała mu wiarę. — Znane to rzeczy, — ta stara jak świat pieśń kończy się wreszcie stryczkiem na samotnej gałęzi".

Lola wzdrygnęła się. Czyżby miała zniszczyć życie tego młodego mężczyzny a przez to i ostatnie dni jego ojca?

„Franciszku, ty nie mówisz tego na serjo", rzekła pospiesznie Lola, „samobójstwo jest grzechem i szaleństwem. — Dzisiaj w nocy stałam także nad brzegiem Renu i chciałam skrócić dni mojego żywota. Zdawało mi się, że muszę umrzeć, a przecież przezwyciężyłam się i cierpię dalej! Tak, jestem zadowolona, żem nie popełniła tego rozpaczliwego kroku."

Młody mężczyzna odparł jednak stanowczym głosem, który przestraszył Lolę: —

„Kocham cię, — jeżeli nie będę cię widział, — muszę umrzeć".

Lola spuściła smutnie głowę na piersi, boleść przeszyła jej serce, — a Franciszek mówił dalej skarżącym się tonem:

„Dlaczego nie chcesz jechać z nami? Nie musisz zostać moją! Użycz mi tylko tyle szczęścia, bym mógł ustawicznie patrzeć na ciebie. Uspokoję się, jeżeli zostaniesz przy mnie. Inaczej zabije mnie tęsknota. — Och, jedź z nami; — ułożę wszystko z ojcem! Kocha mię i nie odmówi mojej prośbie, bym cię zabrał razem z nami. Zresztą pracowite ręce są wszędzie potrzebne. Jeżeli ci się nie spodoba u nas, to idź w imię Boże własną drogą, byle tylko morze nie leżało między nami!

„Błagam cię na klęczkach, wracaj ze mną i spełń moją prośbę. Przysięgam, że nigdy słowem ani spojrzeniem nie przypomnę ci tej sceny w lesie. Będę milczał jak grób, dopóki nie powiesz mi sama, że pragniesz zostać moją!"

Dreszcze wstrząsały pięknem ciałem Loli. Była samotną i wyrzuconą z ludzkiego towarzystwa. Od kilku tygodni nie usłyszała przyjacielskiego słowa, a tutaj widziała przed sobą młodociane serce, wrzące miłością i namiętnością, po które potrzebowała tylko wyciągnąć rękę. — Nie pożądała serca, które bije miłością, — pragnęła mieć tylko przy sobie serce, które dałoby jej przyjacielskie uczucie.

„Dobrze, — niech tak będzie!" zawołała Lola, „pojadę z wami do Ameryki. Nie rób mi jednak nigdy zarzutu, jeżeli pozostanę względem ciebie taką, jak dzisiaj. — Będę zawsze zimną i zarozumiałą!"

Franciszek nic nie odpowiedział, pochylił się i ucałował jej rękę.

„Boże, co robisz?" zawołała Lola, wyrywając mu z dłoni swoją rękę. — „Całujesz moje palce? — Nie dotykaj mię nigdy, bo inaczej spadnie na ciebie nieszczęście i zagłada".



„Queen Mary" będzie największym transatlantykiem angielskim. Większym od niego i to o 3.000 tonn jest tylko francuski 76.000 tonnowy. „Normandie". Dnia 26 maja „Queen Mary" podejmie regularną służbę. Na zdjęciu, wykonanem z samolotu, „Queen Mary.

Młody mężczyzna obrzucił Lolę swojem jasnem spojrzeniem. Mierzył ją badawczo, poczem rzekł cicho:

„Chodź ze mną, — zaprowadzę cię do mojego ojca!"

Gospodarz nie dziwił się bardzo, gdy jego syn wyjawił mu w kwadrans później, że nieznajoma, którą los sprowadził do ich domu, pojedzie razem do Ameryki.

Nie badał Franciszka o powody tego nagłego postanowienia; prawdopodobnie przeczuwał, że syn rozmówił się z obcą w lesie.

Sam był zanadto szczęśliwy, by mógł odmówić prośbie syna.

„Niech jedzie z nami za morze", odparł, „prośmy tylko Boga o błogosławieństwo. — Nie znamy jej wprawdzie nie wiemy, skąd przyszła, nie wiemy, czy jest dobrą czy złą. — Trzeba jej jednak dopomóc, bo jest nieszczęśliwą kobietą!"

— — — — — — —

W pięć dni później rodzina Buchmüllera znajdowała się na morzu, — doktór Haler i Lola jechali razem, — uważano ich za członków rodziny.

Po szczęśliwej podróży wylądowali w nowojorskim porcie i wsiedli zaraz na kolej, zdążając ku celowi swojej dalekiej podróży.

CXXIII.

Władca pustkowia.

Trzy godziny od Santa-Fee, stolicy Nowego Meksyku, leżała kolonia w gó-

rach Sierra Newada.

Dokoła dużego budynku wznosiło się sześćdziesiąt chat drewnianych. O dwadzieścia kroków dalej stał fabryczny budynek, który, podobnie jak i inne, był również zbudowany z drzewa.

Filemon Arbuckle założył ową kolonję, — było to jego dzieło, prawdziwy tryumf, który odniósł nad martwą pustynią.

Tutaj znajdowała się kopalnia srebra, która zbogaciła Arbuckla w tak krótkim czasie. Każdego roku wydobywano z jej łona olbrzymie skarby, płynące do kas miljonera.

Przed siedmioma laty nie było nikogo w tem odludnem pustkowiu. Drapieżne ptaki przelatywały nad wąwozem, a żarłoczne niedźwiedzie szukały tutaj żeru, który im dostarczały pod dostatkiem jelenie, sarny i inne zwierzęta.

Dokoła panowała ponura cisza śmierci, nagie skały spoglądały monotonnie na pusty, dziki wąwóz.

Nagle czyn jednego człowieka i ludzka myśl przemieniła ten wąwóz na zamieszkałą siedzibę. W wąwozie wrzało teraz gorączkowe życie, ruch i zapobiegliwość, jak w jakiej małej stolicy. Nie brakło nawet wesołych lokalów, w których robotnicy zabawiają się wieczorem.

Spotykamy się z tem zjawiskiem przy każdej prawie kolonji, która w ciągu jednej nocy wyrosła jakby z ziemi.

Zaledwie powstanie kilka chat drewnianych, — początek amerykańskiego miasta, — a już widać gospodę, karciarnię i salę balową. Przy kopalniach złota i srebra zjawia się zaraz cała czereda awanturników i podejrzanych ludzi, którzy starają się wszelkiemi sposobami wypróżnić kieszenie poszukiwaczy złota i wydrzeć im ten szlachetny metal, który zdobyli z takim trudem i mozołem.

Filemon Arbuckle był ostrym i surowym panem, — jednak nie zdołał temu zaradzić, a — a może nawet nie próbował wcale.

Widocznie był przekonany, że ciężko pracujący ludzie powinni się trochę zabawić i stracić swój zarobek, gdyż nędzarz jest posłuszniejszym sługą swego chlebodawcy, aniżeli robotnik rozporządzający małym kapitałem.

Kopalnia srebra dawała właścicielowi olbrzymi dochód, a i każdy z robotników dostawał mały majątek za swoją pracę. Inaczej Arbuckle nie zdołałby wyszukać takich ludzi, którzyby stawili mężnie czoło niebezpieczeństwom i zasadzkom pustkowia.

Praca była mozolna. Srebro trzeba było wydobywać głęboko z ziemi, prócz tego samo urządzenie kopalni nie odpowiadało najmniejszym wymaganiom bezpieczeństwa. Nikt nie ręczył robotnikom Filemona Arbuckla za życia. Jeżeli zawaliło się sklepienie i zasypało kilku robotników, to zwykle pomoc była niemożliwa. — Czasem pokazała się nagle woda, — a wtedy nie myślano nawet o akcji ratunkowej.

Lecz nie tylko te niebezpieczeństwa groziły życiu robotników.

Sąsiedztwo Indjanów, jednego z owych dzikich szczepów, które jeszcze dzisiaj żyją w Arizona i Nowym Meksyku, groziło robotnikom ustawicznie śmiercią i pożogą.



Ostatnio wyświetlono w Berlinie nowy, bardzo piękny film węgierski pod tyt.: „Gorąca krew" Udział w filmie biorą znani artyści Marika Rökk i Paweł Kemp, których widzimy na naszem zdjęciu.

Gorąca krew Indjanina, jego żądza przygód, chciwość, krwiożerczość i opilstwo, nie znoszą żadnych więzów i dlatego nie udało się rządowi Stanów Zjednoczonych ujarzmić tych dzikich plemion.

Rząd pozostawił im tak zwane rezerwacje, to jest duży teren, na którym pozwolono czerwonoskórym polować i uprawiać rolę.

Indjanie dostają nawet środki żywności od rządu, tak, że podczas ostrej zimy nie cierpią głodowej nędzy. Czerwone twarze nie okazują jednak za to wdzięczności Stanom Zjednoczonym. Nagle budzi się w nich wrodzony popęd do mordu, Indjanie opuszczają swoje tereny, napadają na osady białych ludzi i mordują wszystko, co im padnie pod rękę.

Każdy znawca Ameryki, albo pilny czytelnik amerykańskich dzienników, przekona się, że każdego prawie roku zdarzają się podobne wypadki, które pociągają za sobą pokaźną stratę w ludziach. Zwykle kończy się na tem, że Zjednoczone Stany posyłają pułk żołnierzy przeciwko Indjanom.

W ten sposób trzyma się w karbach dzikie plemiona Sioux. Po roku zapomina się jednak wyrządzonej krzywdy, a gdy zieleń pokryje szerokie stepy, wówczas padają znowu nowe ofiary.

Zanim rozpoczniemy dalszy tok opowiadania, musieliśmy zrobić mały wstęp i objaśnić czytelnika ze stosunkami w Nowym Meksyku; w tym niegościnnym kraju, w którym niekażdy potrafi się utrzymać.

Zwykle przychodzą tam tylko tacy, którzy nie mają nic do stracenia, którzy ryzykują wszystko, by zyskać dużo, którzy codziennie narażają swoje życie, byle zdobyć tylko tajemnicze skarby spoczywające w głębi ziemi Sierra Newada.

Filemon Arbuckle był bezsprzecznie jednym z takich pionierów albo lepiej mówiąc: jednym z takich awanturników.

Właściwie nikt nie wiedział, kiedy się zjawił w tej okolicy. Nie wiedziano również, skąd przyszedł. Należał do tego rodzaju zjawisk, które zjawiają się jak meteor na niebie, rzucając dokoła snop światła, poczem znikają znowu w tajemniczej ciemni i nicości.

Dotychczas gwiazda Filemona Arbuckla świeciła jasno. Sława jego szczęścia znaną była od San Franciska aż hen na wschód do Nowego Jorku. Wszędzie wiedziano nazwisko właściciela kopalni srebra, — cała Ameryka otwarła się przed nim. Niestety w rodzinnem życiu nie zaznał podobnego szczęścia.

Jego piękna, czarnowłosa żona Rozyta była umysłowo chorą. — Jak wiadomo, Anielcia została przyjęta do opieki nieszczęśliwej kobiety.

Piękna dziewczyna znajdywała się obecnie zdala od cywilizacji, pośród obcych ludzi, których nigdy nie widziała i mieszkała w drewnianym domu. Wprawdzie wszystkie ubikacje były przeładowane amerykańskim komfortem.

Nie brakło tutaj niczego, co się zwykle znajduje w książęcych pałacach. Lecz wszystko było bez życia; zbiór skarbów, sztuki i przemysłu, który kosztował zapewne kilkaset tysięcy, z powodu swojej mnogości i przepełnienia wywierał wprost zatrważające uczucie.

Gdy Anielcia przystąpiła do okna w swoim pokoju, położonym na drugim piętrze i spojrzała na te wiecznie milczące skały, które wznosiły się dokoła, zamykając wąwóz, — lub gdy rzuciła okiem na leśną puszczę, która porosła skaliste szczyty Sierra Newada, albo też posłyszała krzyk drapieżnego ptaka, mruczenie niedźwiedzi i dzikie wycie pumy, — ach, wówczas kurczyło się jej serce a wargi szeptały cicho:

„Daleko od ojczyzny, — tak daleko wszystkiego, co mi jest drogie!"

Sama przecież chciała! Spełniła swój zamiar i rozdzieliła się morzem od męż-

czyzny, którego kochała bezgraniczną, głęboką miłością, a który odtrącił ją od siebie i rzucił jej w twarz potworną obelgę! Przecież chciała szukać zapomnienia w pustkowiu! Najchętniej zakończyłaby tutaj swoje życie i nie wróciła nigdy na szeroki świat pełen radości bólów i rozczarowań.

Zapomnienie! — Ach, czuła niestety, że nie zdoła nigdy zapomnieć! O, w głębi serca nosiła ciągle obraz kochanka — zapomnienie było wykluczone. I była dumną nawet na swoje uczucie, nie życzyła bowiem sobie, by kiedyś na pamięć Kazimierza padł mglisty cień.

Anielcia nie miała powodu skarżyć się na obecne swoje położenie i nie żałowała wcale tego kroku.

Filemon Arbuckle okazywał jej wielki szacunek i uprzejmość. Wyróżniał ją przy każdej sposobności, — i nie uważał za służącą, lecz raczej za przyjaciółkę, którą jego żona przywiozła ze sobą z Nowego Jorku.

Rozyta, piękna obłąkana, była pełną dobroci względem Anielci. Pokochała prędko piękną dziewczynę. — Zwykle mówiła bardzo mało, lecz każde słowo, które wymawiała do Anielci, tchnęło miłością i przyjacielskiem uczuciem.

Dotychczas nieszczęśliwa nie dostała ani jednego z tych napadów, o których wspomniał Arbuckle przed Anielcią w Nowym Jorku.

Obłęd tej kobiety polegał prawdopodobnie na bezgranicznej melancholji. Objawy owej choroby potęgowały się zwykle wtedy, jeżeli przez dłuższy czas znajdywała się sam na sam ze swoim mężem Arbucklem.

A mimo to zdawało się, że kocha go nad życie? — W nieobecności męża była zawsze niespokojną i spoglądała ustawicznie na drzwi, czy się w nich nie zjawi Filemon...

Mówiła ciągle o nim, drżała na myśl, że go może spotkać coś złego wśród dzikich robotników, albo by go nie spotkało jakie nieszczęście w głębi kopalni srebra.

Jeżeli we drzwiach pokazał się Arbuckle, wówczas wzdrygała się, spoglądała na niego bezmyślnie, a jej wzrok zatrzymywał się na obliczu męża, jakby to był jej pan, a ona jego niewolnicą.

W ten sposób minęły pierwsze cztery tygodnie, które Anielcia spędziła w domu właściciela kopalni srebra. — W ciągu tych czterech tygodni nie widziała prawie nikogo, prócz Arbuckla i jego żony. Wprawdzie w domu miljonera znajdywała się liczna służba, lecz Anielcia nie stykała się z nikiem bliżej.

Słyszała o Rosjaninie, zarządcy kopalni srebra, który był w wielkiej łasce u Filomena Arbuckla; nie spotkała się jednak nigdy z owym mężczyzną.

— — — — — — — — —

Ciemna noc zaległa nad kolonją w pustyni; w domach pogasły już dawno światła. Nawet w domu gry, gdzie zwykle do białego rana zabawiano się hucznie, panowała głęboka cisza.

Tylko jedyne światełko padało przez okno w ciemność.

Świeciło się ono w prywatnym kantorze Filemona Arbuckla, który siedział przy biurku.



W ramach zawodów konnych, jakie odbyły się w Berlinie, miał miejsce również konkurs artyleryjski, w którym mimo groźnej konkurencji wybitnych jeźdźców europejskich, pierwsze miejsce zdobyła panna Irmagard Georgius z Hamburga.

Wsparł głowę na rękach i spoglądał na książkę, której kartki były pokryte długimi szeregami cyfr.

„Jeden rok jeszcze" — szepnął cicho, „wtedy skończy się wszystko, wówczas osiągnę mój cel, do którego dążyłem. Opuszczę to pustkowie z majątkiem wynoszącym dwadzieścia miljonów dolarów i będę żył nadal wśród wykształconych ludzi.

„Ach, zasłużyłem na to," dodał zmrużonym tonem, „szczęście nie przyszło mi tak łatwo, jak sądzą ludzie. Wywalczyłem je i zdobyłem, — osiągnąłem wreszcie przez —"

Nagle umilkł, skłonił jeszcze niżej głowę na piersi, jego oczy przybrały dziwny wyraz bezmyślności.

„A jeżeli rzeczywiście zdobędę te dwadzieścia miljonów", mówił dalej dzikim głosem, równocześnie zerwał się ze stołka i zaczął chodzić po pokoju, którego ściany były wybite kosztowną tapetą, — „to pytanie, czy będę mógł spokojnie używać dochodów z mojego majątku? — Ha, ha, może nie zdołam rozerwać łańcucha zbrodni, które mię skuły z tym kawałkiem ziemi, które jak Erynnie wyciągają ku mnie swe ramiona i zawezwą mię znowu tutaj, skoro tylko postawię nogę na szerokim świecie!

„Czyż nie było tak ostatnią razą w Nowym Jorku? Nagle poczułem niewysłowioną tęsknotę, wobec czego spakowałem prędko moje kufry i powróciłem do tego odludnego wąwozu!

„Co to takiego, co mię wiąże nierozerwalnym węzłem z ową kobietą? Prawdopodobnie nic innego, jak wspomnienie i do tego straszne wspomnienie! — Zaiste, muszę uwolnić się od tego błazeństwa i zapomnieć! — Ludzka wola działa czasem cuda!

„A czyż na moje życie nie padł słoneczny promień!" szepnął ciągle Filemon Arbuckle, — czyż nie czuję się daleko spokojniejszym i zadowolonym, odkąd owa dziewczyna bawi w moim domu, odkąd widzę ją codziennie i napawam się jej obecnością?

„Filemonie Arbuckle, co ci się stało? Jaki czar oszołomił twoje serce? Czyż nie przyrzekłeś sobie, że nigdy nie oddasz serca innej kobiecie? Może te marzące niebieskie oczy rzuciły na ciebie urok? Czyżby ta Polka ze swojem ostrem obliczem i cudowną postacią chciała cię ujarzmić?

„Ach, pomyśl, wspomnij tylko, jaką nędzę sprowadziła kobieta na twoje życie i bądź silny, — nie daj się znowu opętać!

„Stój, kto tam idzie?"

Do drzwi zapukał ktoś cicho; ze sieni zawołał zwykły głos męski:

„Pan jeszcze nie śpi, — mam do pomówienia kilka słów z panem!"

Arbuckle wzdrygnął się, przetarł ręką oczy, jakby spędzał sen z powiek, zanim powróci do rzeczywistości życia. Następnie odsunął zasuwkę, — a we drzwiach pokazała się wysoka, silna postać mężczyzny, który nosił ubranie robotników miljonera: skórzane spodnie, wysokie buty, czerwoną koszulę górniczą, rozwartą na szerokiej piersi, duży kapelusz filcowy, który przykrywał pomierzwione jasne włosy, przeplatane srebrnemi nitkami.

Krótka, jasna broda, jaką zwykle nosi się na pustkowiu, otaczała szlachetne oblicze mężczyzny.

„A to wy, Macieju Buchmüllerze?" zawołał Arbuckle, zdziwiony nieco tą późną wizytą. „Do djabła, co was sprowadza o tej porze do mnie?"

„Troska, panie," odparł robotnik, spoglądając spokojnie i poważnie w oczy swego chlebodawcy, „troska o pańskie życie i pańską własność!"

W żelaznej twarzy Arbuckla nie zadrżał ani jeden muszkuł, mimo, że te słowa zwiastowały mu straszną wiadomość.

„Prawdopodobnie sądzicie", zawołał Filemon Arbuckle z uśmiechem, „że Indjanie złożą nam znowu małą wizytę. Mylisz się drogi przyjacielu, niedawno temu zawarłem z nimi pokój. Zobowiązałem się płacić im rocznie mały haracz, który uiszczam naturalnie w broni i w środkach żywności. — Nie, z tej strony nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

„Gdyby to tylko byli czerwonoskórcy", odparł Maciej Buchmüller, wzruszając ramionami. „W takim razie nie byłbym przyszedł do pana o tak późnej godzinie, a moje serce nie miałoby wielkiej troski. Dotychczas uporaliśmy się zawsze z Indjaninami i nabiliśmy im dużo krwawych guzów. Są jednak inni jeszcze nieprzyjaciele, których nie możemy tak łatwo pokonać, ponieważ nie zjawiają się otwarcie jak Indjanie, lecz siedzą ciągle w ukryciu. — Krótko mówiąc, między robotnikami wrze nienawiść do pana. Jestem przekonany, że w cichości zanosi się na coś strasznego."

„Między moimi robotnikami?" zawołał Filemon Arbuckle. „Z jakiego powodu skarżą się na mnie?"

„Nie wiem tego, wielmożny panie, zarabiam dosyć pieniędzy, podobnie jak i inni. Pokryjomu ciągle ktoś namawia i buntuje! Zarządca, którego pan zrobił

naszym przełożonym, wodzi rej wśród robotników. Ten Rosjanin był mi zawsze podejrzany."

Arbuckle zagryzł wargi, spojrzał ukradkiem niedowierzająco na Niemca, mówiącego do niego w prostych słowach, jak człowiek, który wyjawia zupełną prawdę.

„Ach, podejrzywacie więc Grzegorza Slatkina", zawołał po chwili miljoner, „tak, tak! — To łatwe do odgadnięcia, że ten Rosjanin jest wam solą w oku. Prawdopodobnie mieliście nadzieję, że wam dam to miejsce, na którem postawiłem Grzegorza Slatkina. Mylicie się, jeżeli sądzicie, że przez rzucenie podejrzenia na Rosjanina, któremu ufam bezgranicznie, zaszkodzicie mu cokolwiek."

Pąs oburzenia oblał twarz niemieckiego robotnika jak płonąca pochodnia.

„Panie," zawołał gwałtownie, „wypowiedziałem tylko moje zdanie, — reszta nie należy do rzeczy! Nie troszczę się o Rosjanina! Wymijam go w drodze, jakby go nie było. A chociaż prawdą jest, że ja jako najstarszy robotnik zasłużyłem prędzej na odznaczenie, to mimo to nie jestem łotrem. Z tego powodu nie byłbym wyrzekł ani słowa. Zresztą, jak pan uważa, — wolna wola. Ostrzegłem pana i spełniłem mój obowiązek."

„Nie gniewam się też na was, Macieju Buchmüllerze", odparł Arbuckle, „i bądźcie przekonani, że dzisiejszą rozmowę puszczę w niepamięć. Grzegorz Slatkin pozostanie nadal waszym dozorcą, a każdy robotnik winien mu bezwarunkowe posłuszeństwo!"

„Dobrze, wielmożny panie, będziemy go słuchać", rzekł Maciej Buchmüller, wzruszając ramionami; „ale mam jeszcze jedną prośbę: za kilka dni przyjedzie mój brat z dwoma synami i córką. Obiecał mi pan dać im u siebie zarobek. Czy mogę na to liczyć?"

„Bądźcie zupełnie spokojni. Jeżeli ci ludzie okażą się pracowitymi, to ich zatrzymam u siebie."

Maciej Buchmüller pokłonił się, otworzył drzwi i wyszedł z pokoju.

Arbuckle pozostał znowu sam i zamyślił się głęboko.

„Może ma nawet słuszność", przemówił do siebie, chodząc niespokojnie po pokoju. „Grzegorz Slatkin nie zasługuje wcale na moje zaufanie. Nie mogę inaczej jednak postąpić, muszę go zatrzymać. Przypadek odkrył przed nim rąbek mojej tajemnicy, — dlatego trzeba będzie go jako ułagodzić, — bo w przeciwnym wypadku ten człowiek gotów zostać moim śmiertelnym wrogiem."

Arbuckle spojrzał na mały zegar, stojący na jego biurku, — była północ. Zgasił światło i wszedł na schody, prowadzące do prywatnego mieszkania.

Otwierając drzwi pokoju, który znajdował się tuż obok sypialni jego żony, zobaczył przed sobą Anielcię.

Było widać z jej twarzy, że tej nocy nie przymknęła jeszcze ani oka. Rozpuszczone włosy spadały jej aż do bioder.

Lekki negliż okrywał jej wiotką i powabną kibić, twarz jednak była blada i znużona.. W tym pustkowiu, otoczona świeżem powietrzem gór Sierra



Królowe piękności Paryża były gośćmi Rady Miejskiej w Paryżu. Prezydent Rady Miasta M. J. Chiappe powitał królowe pocałunkiem.

Newada, zyskała jeszcze na swojej piękności.

Filemon Arbuckle na widok Anielci zatrzymał się jak rażony piorunem, ponieważ właśnie w tej chwili myślał o pięknej dziewczynie i był zupełnie na to nieprzygotowany, że ją zobaczy przed sobą we własnej osobie.

„Ach, to pani," zawołał miljoner niepewnym głosem; „co się stało? dlaczego pani znajduje się jeszcze o tej porze w sypialni mojej żony?"

„Obawiam się, mister Arbuckle," odparła Anielcia, „że nasza chora będzie miała dzisiaj niespokojną noc; nigdy dotychczas nie zauważyłam u niej takiego stanu. Opowiada ciągle o rzeczach, których nie mogę pojąć. — Zwykle obchodziła się ze mną nadzwyczaj uprzejmie, — wprost jak rodzona siostra, — nigdy nie powiedziała mi złego słowa, gdy nagle dzisiaj tak jakoś dziwnie mówi, że mi się wprost na płacz zbiera. Dobrze się stało, że mię pan uprzedził, wiem przynajmniej, że te złe słowa wymawiają wargi obłąkanej kobiety."

Arbuckle pogładził swoją dużą ręką, na której błyszczały kosztowne djamenty, długą brodę.

„Cóż takiego powiedziała pani moja żona," badał, zbliżając się do Anielci o jeden krok.

Piękna dziewczyna zaczerwieniła się.

„Mister Arbuckle, tego nie mogę powtórzyć", odparła cichym głosem, ze spuszczonemi wdół oczyma, podczas gdy jej dziewicza pierś falowała mocno, „nie, nie mogę, — to straszne."

„Przecież sama pani powiedziała", przerwał Arbuckle oschłym głosem, „że to są same fantazje umysłowo chorej. Dlatego może pani spokojnie powtórzyć owe słowa."

„Niech i tak będzie, mister Arbuckle", szepnęła Anielcia, „o mój Boże, nie zasłużyłam pewnie na ten zarzut, który mógł powstać tylko w błędnym mózgu. Pańska żona zarzuciła mi, — że jestem z panem w tajnem porozumieniu, — nazwała mię pańską kochanką!"

„Moją kochanką", powtórzyły usta wysokiego, brodatego mężczyzny, „moją kochanką, — tak powiedziała, — rzeczywiście? — Nieszczęśliwa — odkryła tajemnicę mojego serca."

Anielcia cofnęła się wstecz o jeden krok, — spojrzała z przerażeniem na miljonera, który robił wrażenie, jakby nagle stracił całą swoją pewność i imponującą postawę, którą odznaczał się zawsze w obcowaniu z ludźmi.

„A gdyby tak było", mówił Arbuckle, ujmując przemocą rękę Anielci z taką siłą, że piękna dziewczyna wydała lekki jęk bolesny, „a gdyby tak rzeczywiście było, Anielciu? — Jeżeli to nie jest płód chorej fantazji, co mówiły usta mojej żony, lecz raczej nieomylny instynkt kobiecego serca, który nigdy nie zawodzi."

„Mister Arbuckle, — święty Boże, — niech mię pan puści!"

„Nie, nie puszczę cię, Anielciu, dopóki nie wyjawię ci wszystkiego. Oh, może byłbym wiecznie milczał, lecz poco ukrywać, jeżeli wzrok mojej żony odczytał całą prawdę! — Anielciu, kocham cię! Odkąd bawisz w moim domu, zaszła we mnie straszna zmiana. Moją duszę opanowała miłosna gorączka, która mię nie opuści, jeżeli nie ochłodzisz jej twoimi pocałunkami i pieszczotą."

„Mister Arbuckle, niech mię pan puści", zawołała Anielcia, przejęta szlachetnym gniewem; silnem szarpnięciem wyrwała swoją rękę z dłoni mężczyzny, poczem dodała: „Nie zasłużyłam sobie na takie obejście —"

Miała już wymówić potworne słowo, które posłyszała niegdyś z ust Kazimierza; opanowała się jednak, — nie chciała poniżać siebie samej.

Biegła ku drzwiom. Zanim położyła rękę na klamce, Arbuckle był już przy jej boku. Zagrodził jej drogę, rozciągnął ramiona, tak, że była zmuszoną zrezygnować ze swojej ucieczki.

„Słuchaj mię, dziewczyno", zawołał miljoner; zmarszczył groźnie czoło, jego oczy rzucały złowrogie błyski, a Anielcia zadrżała mimowoli przed tym demonicznym ogniem, „dotychczas nie pozwoliłaś mi na wypowiedzenie wszystkiego. Wyjawiłem ci moją miłość. Zdradziłem, żeś w mojej duszy rozniecila szatański płomień namiętności. — Nie mówiłem jednak o twojej przyszłości, — jak ja ją sobie przedstawiam i wyobrażam w głębi serca."

„Mister Arbuckle, błagam pana, — milcz pan! — Wszechmocny Boże, chcesz pan gwałtem wypędzić mię z tego domu? Dokąd mam się udać w tej pustyni? — O mój Boże, mister Arbuckle, niech się pan zlituje!"

„Nie mogę się litować, bo inaczej zgubiłbym sam siebie. Anielciu, przed tobą stoi mężczyzna, który musi osiągnąć każdy zamiar. Poprzysiągłem sobie w jednej strasznej godzinie mojego życia, że zostanę bogaczem, miljonerem, i dotrzymałem słowa! Teraz postanowiłem sobie posiąść ciebie, — i muszę to osiągnąć, nawet gdyby — —. Lecz nie, nie będziesz na tyle szaloną, byś wzgardziła swoją miłością. Anielciu, słuchaj, co ci mam powiedzieć."

Silny mężczyzna ujął ją znowu za ręce i przyciągnął do siebie, tak, że Anielcia poczuła jego ciało obok siebie, które przejęło ją wstrętem.

„Ludzie nazywają mię władcą pustyni", szeptał namiętnie Arbuckle a jego oczy błyszczały jak u dzikiego zwierzęcia, „otwarłem ten wąwóz cywilizacji, zanurzyłem się głęboko w ziemię i wydarłem jej kosztowne skarby. Jestem teraz miljonerem. — bogatszym aniżeli myślisz. — Anielciu, powiedz jednak zupełnie otwarcie, czy nie mam podłego życia przy boku tej obłąkanej żony, która cięży mi jak kula u nogi?"

„Wiążą was święte węzły", odparła Anielcia wzruszonym głosem, „przecież to pańska żona."

„Moja żona! — Haha, moja żona, — masz słuszność, moja żona! Ach, gdybym mógł ci wszystko wyjawić! — Anielciu, na to potrzeba długiego wyjaśnienia. Jestem gotów umieścić tę nieszczęśliwą w jakim zakładzie, gdzieby obchodzono się z nią, jak z królową. Zapłacę za nią tysiące, niech będzie sto tysięcy, — nic mi na tem nie zależy! Ty musisz zostać moją żoną, z tobą rozpocznę nowe życie. Nie będziemy żyć dłużej w tem pustkowiu. — Jeżeli zechcesz, to pojedziemy do Paryża, do francuskiej stolicy świata. Zgadzam się również na łagodny klimat słonecznych Włoch. Wymień tylko punkt ziemi, na którym obdarzysz mię szczęściem, a już postaram się, że na tem miejscu powstanie pałac, godny cesarzowej! — Tak, postaram się, by ci tam na niczem nie zbywało. — Wszystko będzie należeć do ciebie, co tylko zdoła zażądać ludzkie serce! — Anielciu, kochaj mię, gdyż bez twojej miłości nie mogę żyć na świecie."

Wymawiając te słowa, osunął się powoli i klęczał teraz przed nią na kolanach.

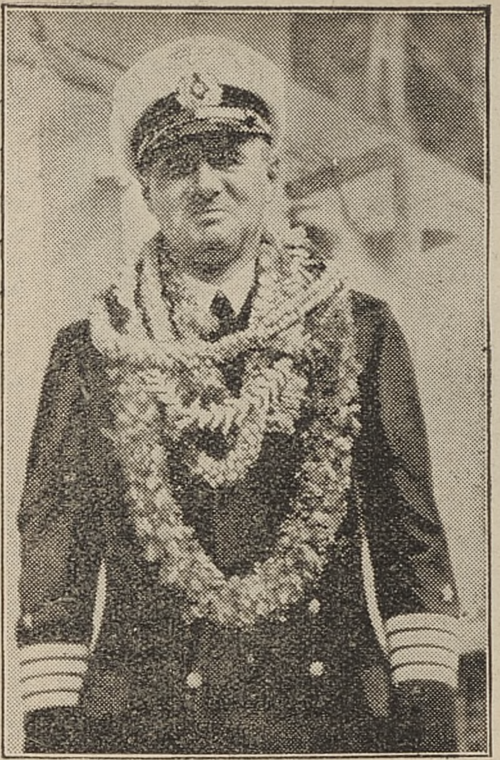
On, władca pustyni, — ten mężczyzna, którego poznała już na tyle Anielcia, że posiadał niezwykły upór i niebezpieczny gniew, — ten człowiek, który nie znosił najmniejszego oporu, który poskramiał zbuntowanych robotników rewolwerem w ręce, a gdy było potrzeba, to nadstawiał piersi Indjanom i pokonywał ich swoją wyższością, — ten człowiek leżał teraz u jej stóp i błagał ją o miłość.

Ha, gdyby Anielcia była taką jak inne, to potrzebowała wyciągnąć tylko rękę po miljony. Jedno słowo, a zostałaby panią tych wszystkich tajemniczych skarbów, które były ukryte w łonie gór Sierra Newada, tych niezmiernych skarbów, które były częściowo wydobyte i ulokowane w bezpiecznem miejscu.

Anielcia czuła wstręt przed tym mężczyzną, który chciał złamać wiarę swojej żonie. Bała się tej bladej brodatej twarzy, która żądała od niej w namiętny sposób miłości. Patrząc na niego, czuła nieprzezwyciężoną odrazę.

„Anielciu, zdecyduj się", prosił Filemon Arbuckle, „powiedz, że zostaniesz moją, — a już jutro ten dom otrzyma nową panią."

Zanim Anielcia zdołała odrzucić z oburzeniem tą podłą propozycję, zanim nieszczęśliwa dziewczyna była w stanie, wydać jeden okrzyk z falującej



Aloha! Witaj! — wołają mieszkańcy Hawajów, strojąc przybyszów z dalekich stron, wieńcami uwitemi z kwiatów. Na zdjęciu kapitan niemieckiego krążownika „Emden".

piersi, nagle otwarły się drzwi, w których pokazała się postać szalonej Rozyty.

„Oh, — co widzę, ty klęczysz przed nią?" zawołała, wybuchając nienaturalnym śmiechem. „Na kolanach przed obcą kobietą? — Haha, to twoja przysięga, którą złożyłeś przy trupie mojego ojca, — dlatego mordowałam? — Podły łotrze, przypłacisz mi to twojem życiem! — Kochałam cię, lecz teraz, — teraz zdradzę cię! — Wyjawię wszystko szeryfowi ze Santa-Fee, — tak wszystko. Ojcze, — obecnie zostaniesz pomszczony!"

Filemon Arbuckle rzucił się na swoją żonę z ochrypłym krzykiem, przyciągnął ją ku sobie i zawarł ręką jej usta.

Nie mógł jednak zdławić strasznego głosu kobiety, — z pod jego ręki wydobywały się przeraźliwe jęki:

„Nie namówiłeś mię do mordu? — Ha, srebro, — przeklęty metal, pomieszał ci zmysły! — Twojemu najlepszemu przyjacielowi nie chciałeś odstąpić jego udziału z kopalni! — Podaj mu truciznę, szeptałeś mi ciągle jak szatan, — truciznę! — A był to mój ojciec, — własny ojciec!"

„Niech jej pani nie wierzy", zawołał Filemon Arbuckle do Anielci. „Szaleństwo mówi przez nią, — i wywołuje w jej duszy potworne obrazy. Każde słowo mojej żony świadczy najlepiej o gorączkowem majaczeniu!"

Anielcia oprzytomniała z osłupienia. Nagle poczuła swój obowiązek, że powinna wyratować nieszczęśliwą kobietę z rąk Arbuckla, który ją chwycił za szyję i dusił.

„Mister Arbuckle", rzekła Anielcia łagodnym głosem, „niech pan pozwoli, że zaprowadzę pańską żonę do łóżka, — zapewne polepszy się jej tam w krótkim czasie."

„Dobrze", szepnął niechętnie Arbuckle, „proszę ją zabrać ze sobą. Niech pani jednak nie zapomni, że to obłąkana kobieta. — Haha, mówiła coś o jakimś morderstwie i o swoim ojcu? On już gryzie ziemię w Meksyku. Był dawno w grobie, jak ją poznałem. — Panno Anielciu, proszę uspokoić nieszczęśliwą kobietę."

Anielcia wsparła na sobie piękną, pełną postać Meksykanki, której siły były zupełnie wyczerpane. — — Rozyta szła mechanicznie przy boku Anielci. Po chwili zamknęły się drzwi za kobietami, a Anielcia odetchnęła pełną piersią.

CXXIV.

Tajemnica Meksykanki

Istna powódź myśli zalała duszę Anielci, kiedy rozbierała Rozytę i gotowała jej posłanie. Obłąkana zachowywała się zupełnie apatycznie.

Od czasu do czasu załkała tylko gorzko. Nie powtarzała jednak więcej tego dzikiego oskarżenia, które rzuciła przed chwilą w twarz własnemu mężowi.

Cierpiała Rozyta na pomieszanie zmysłów, — była zawsze obłąkaną? Albo czy też krwawa zbrodnia przyprowadziła ją o utratę zmysłów?

Im dłużej Anielcia myślała nad tem, ścieląc łóżko, tem mocniej była przekonaną, że szaleństwo nie mogło wywoływać w duszy tej kobiety takich obrazów, któreby były pozbawione wszelkiej podstawy.

Jeżeli jednak w jej przerażającem wyznaniu leżało tylko ziarnko prawdy, w takim razie Filemon Arbuckle był największym łotrem pod słońcem! Spełnił taką potworną zbrodnię, że najstraszniejsza kara była jeszcze za łagodną.

Z tego chaosu myśli wyłoniło się przed Anielcią jedno jasne zdanie.

Nie powinna zostać dłużej w tym domu. Czuję odrazę do tego człowieka, — i zdaje się jej, że widzi na jego rękach skrzepłą krew.

Lecz nawet gdyby tak było, — gdyby nie usłyszała strasznego oskarżenia nieszczęśliwej Rozyty, — to była jednak zmuszoną uciec z domu Filemona Arbuckla.

Wyznał swoją miłość i leżał u jej stóp. Odczuła wyraźnie drżące uścisnięcie jego palców, wiedziała, że nie poprzestanie na tem wyznaniu. Arbuckle nie należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy wyrażają swoją miłość tylko w słowach. Drżała przed tą chwilą, kiedy jego uczucia zamienią się w czyny.

Ten budynek, którego drzwi były opatrzone słabemi zasuwkami, nie dawał jej dostatecznego bezpieczeństwa.

Ah, nie będzie mogła nawet spać spokojnie; ciągle będzie się obawiała, że Filemon Arbuckle zjawi się nagle przy jej łóżku.

Lecz dokąd, — dokąd uciekać?

Anielcia powtarzała ustawicznie to pytanie; była bliską rozpaczy.

Santa-Fee było najbliższem miastem. Stamtąd szła kolej do Douver, gdzie właściwie rozpoczynała się dopiero cywilizacja.

Jeżeli zwróci się znowu na wschód Ameryki, — a nie pozostawało jej nic innego, jak tylko ten krok, — to musi

zwarunkowo starać się dojść do San-
-Fee.

Wóz, zaprzągnięty w cztery muły, potrzebował dwa dni drogi, by dojechać
 Santa-Fee. Jej nogi były za słabe na
 drogę, — gościniec prowadził przez
ciewiczy las i nagie skały, które groziły ustawicznem niebezpieczeństwem!
Anielcia schyliła głowę na piersi, o-
y zaszły jej łzami. Los sprowadził
 znowu w straszne położenie; piękność twarzy prześladowała ją na każ-
m kroku.

„Anielciu, — Anielciu!“ obiło się na-
e o jej uszy.

Młoda dziewczyna wzdrygnęła się, pozała obłąkaną kobietę po głosie. Spojrzała na łóżko i zobaczyła, że Rozyta
odniosła się z posłania.

Meksykanka jaśniała całym blaskiem
swojej urody.

Jedwabna koszula opadła na piersi,
biały jedwab rywalizował z białością
j twarzy, która odbijała się ostro i
wyraźnie z ram czarnych, kruczych
losów.

„Anielciu“, szepnęła Rozyta, „zamknij
rzwi! — Zobacz, czy niema kogo w
sąsiednim pokoju, — muszę z tobą
omówić. — Idź, dziewczę, — idź prędzo, — rozchodzi się o śmierć lub ży-
ie! — Oh, ty go nie znasz, — nie zaomni nigdy mojego dzisiejszego kroku,
amorduje mię napewno.“

Był to wzrok obłąkanej, który piękna
lada kobieta skierowała na Anielcię?
zy warjatka mogła mówić tak logiczie i trzeźwo? — Nie, przez Rozytę
nówiła kobieta, która cierpi pod wpływem ustawicznej bojaźni.

Anielcia podbiegła ku drzwiom, oworzyła je cicho i popatrzyła badawzo do sąsiedniego pokoju.

Filemon Arbuckle znikł jak kamfora.
Prawdopodobnie wyszedł z pokoju i
dał się do swojego prywatnego mieszkania.

Anielcia zasunęła szybko rygiel i
rzystąpiła do łóżka nieszczęśliwej kobiety.

„Anielciu, podaj mi twoją rękę“, zawołała Rozyta wzruszonym od łez głosem, „spojrzyj na mnie, — przekonaj
się, że nie jestem obłąkaną, a przynajmniej w tej chwili mówię zupełnie
świadomie. — Ach, od dłuższego czasu
melancholja zasępiła mój umysł.
Ale teraz, — jestem przytomna, teraz
muszę być silną! Przebudziłam się, —
ten łotr nie wywiera obecnie na mnie
żadnego wpływu! — Anielciu, — prędko, — zanim nadejdzie, wysłuchaj mię
uważnie, — będę zwięźle mówiła. —
musisz się wszystkiego dowiedzieć. —
Jutro, — może już jutro nie będę więcej
żyła. Powiedzą, żem umarła nagle w
nocy. Wiedz jednak, że mię zamordował Filemon Arbuckle.“

Zimny dreszcz przebiegł ciało Anielci;
całe zachowanie Rozyty nie zdradzało
atoli nienormalnych funkcji jej mózgu.

Nie dające się opisać wzruszenie opanowało całe jestestwo nieszczęśliwej
kobiety, która rozporządzała wprawdzie miljonami, lecz z drugiej strony
zasługiwała na litość, jak nikt na świecie.

„Poznałem go w Meksyku“, przemówiła Rozyta po krótkiej chwili milczenia, opadając na poduszki, „kochałam go. — Oh, musiałam go kochać, był bowiem mężczyzną w całem tego słowa znaczeniu. — Wkradł się w zaufanie mojego ojca, który był znanym adwokatem. — Mój ojciec dowiedział się przypadkowo o jednej ważnej tajemnicy. Zbrodniarz, którego stracono w Meksyku, zaofiarował mojemu ojcu w ostatniej godzinie przed śmiercią olbrzymie skarby, jeżeli go wyratuje od szubienicy. W górach Sierra Newada odkrył wąwóz, który zawierał bogate pokłady srebra.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)



Tam, gdzie niegdś przeszły rzymskie legjony i znalazły sposobność do zawładnięcia kraju, spotyka się niezniszczone budowle i pomniki. Szczególnie piękny jest rzymski wodociąg przy „Ponte du Garde" w południowej Francji. Wodociąg ten liczy 2.000 lat.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 5 kwietnia 1936 r.

9.00 Audycja poranna 7,45 „100 lat prac Collegium Marianum" w Pelplinie — reportaż 10.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry w Pelplinie 12.03 Przegląd teatralny . 12.15 Poranek muzyczny z Łodzi W przerwie około godz. 13.00: Teatr Wyobraźni, fragment słuchowiskowy z dramatu Krzysztofa Marolwe'a pt. „Tragiczne dzieje doktora Fausta" w przekładzie Jana Kasprowicza, w oprac. Z. Falkowskiego. 14.00 „Pompa stanęła" — fragment z powieści 14.20 „Dziś gramy tylko serenady" 15.00 „Godzina rolnika" 16.00 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci starszych 16.50 Pogadanka aktualna 17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" 19.00 Wiadomości sportowe 19.15 Audycja muzyki pasyjnej z kościoła ewang.-augsbursg. w Warszawie 19.45 „Co czytać?" 20.00 Koncert solistów 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 „Wrażenia z Jerozolimy" — feljeton 21.45 Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni R. P. 22.00 Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej 22.45 Muzyka salonowa.

Poniedziałek, dnia 6 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Listowne nauczanie rolnictwa" — pogadanka 12.25 Koncert Orkiestry Kameralnej Adama Hermana 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Muzyka lekka 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Chór „Lutnia-Macierz" 16.30 Teatr Wyobraźni: fragment słuchowiskowy „Biały Mnich" 16.55 „O oparzeniach" — pogadanka 16.50 „Minuta poezji": Wiersz Juljusza Słowackiego „Radujcie się, Pan Wielki narodów nadchodzi" — recytuje Zofja Gryff-Olszewska 17.10 Współczesna polska muzyka fortepianowa w wyk. Maryli Jonasówny 17.40 „Walka człowieka ze szokdnikiem — owadem" 17.50 „Paryż" — film radjowy 18.30 „Już wiosna" — audycja dla dzieci 18.55 Pogadanka aktualna 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogad. aktualna 20.00 Audycja żołnierska 20.30 Trio salonowe P.R. W przerwie o godz. 20.45: dziennik wieczorny oraz „Obrazki z Polski współczesnej" 21.15 „Na wysokiej połoninie" — aud. literacko-muzyczna 22.00 Koncert Symfoniczny w wyk. Ork. Symf. P.R. 23.05 Muzyka salonowa.

Wtorek, dnia 7 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół (dla dzieci młodszych) „Śpiewajmy piosenki". 12.35 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 13.15 „Z rynku pracy" 15.30 Trio salonowe z Poznania 16.00 Skrzynka PKO. 16.15 Krótki koncert francuskiej muzyki symfonicznej 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 „Skarby Polski" — odczyt 17.15 Koncert muzyki lekkiej wyk. Małej Orkiestry P.R. 17.45 Encyklopedja mówiona 18.30 „O twórczości poetyckiej ks. Biskupa Bandurskiego" 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 „Holender-Tułacz" — opera w 3 aktach Ryszarda Wagnera z Teatru Wielkiego W przerwie I-szej — Dziennik Wieczorny W przerwie II-giej „Obrazki z Polski współczesnej" 22.45 „O kobiecie polskiej" — odczyt w jęz. angielskim. 23.05 Muzyka salonowa.

Środa, dnia 8 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Kupujemy materjały" — pogadanka 12.30 Koncert z udziałem solistów 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Zespół Niny Mańskiej 16.00 „Wędrówka naokoło globu" „Nad rzeką, która żywi ludzi" — audycja dla dzieci starszych 16.20 Znakomite soprany 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 „Dyskutujmy" — „Cnoty i cnotki" 17.20 Koncert kameralny, transm. z sali Warsz. Konserwatorjum 18.30 Skrzynka ogólna 18.55 „Jak uprawiam ziemniaki" — pogadanka wygł. St. Siennicki gospodarz małorolny z pow. Ostrów-Mazowiecka 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 Słuchowisko 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z Polski współczesnej" 21.00 XXXI audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21.40 „Rozmowa z Bogiem" 21.55 Pogadanka aktualna 22.05 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 23.05 Muzyka salonowa.

Czwartek, dnia 9 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Sekstet Jadwigi Klechniowskiej 16.00 Audycja dla dzieci starszych pt. „Wiosna w puszczy i na wielkich wodach" 16.15 Koncert religijny z Konserwatorjum Warszawskiego 16.45 Utwory na wiolonczelę z towarzysz. fortepianu w wykonaniu Zofji Adamskiej i prof. Ludwika Ursteina. 17.00 „Mieszczaństwo polskie w dziejach i życiu narodu" „Rola mieszczaństwa lwowskiego w dziejach Polski" 17.15 V Koncert z cyklu „Najpiękniejsze sonaty Mozarta" 17.50 Pogadanka aktualna 18.00 Fragmenty z III aktu misterjum muzycznego „Parsifal" 18.30 „Film, plastyka i architektura" 18.40 „Jak spędzić święta?" 18.55 „Kącik dla młodzieży wiejskiej 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 Teatr Wyobraźni: premjera słuchowiska pt. „Piotr Skarga" 20.30 Koncert Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki z Konserw. Warsz. 22.15 Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry P.R. pod dyr. F. Rybickiego 23.05 Polska muzyka

Piątek, dnia 10 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert solistów 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 13.15 „Z rynku pracy" 15.30 Recital organowy Feliksa Nowowiejskiego 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert ork. Tadeusza Seredyńskiego 16.10 ,Cud na pustyni" -- obrazek słuchowiskowy dla dzieci starszych 17.10 „Skarby Polski" — odczy 17.25 „Minuta poezji" 17.30 Audycja pasyjna ze Lwowa 18.20 Poradn. sportowy 18.40 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Komunikat śniegowy z Krakowa 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P.R. 20.00 „Misterjum o Męce Pańskiej" 20.20 Koncert muzyki symfonicznej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Józef Haydn: „Siedem Słów Chrystusa na Krzyżu" 22.15 Skrzynka techniczna 22.30 Muzyka poważna.

Sobota, dnia 11 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 14.30 Muzyka salonowa w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 15.30 Teatr Wyobraźni: „Opowieść wielkanocna dzwonów toruńskich" — słuch. 16.00 „Medytacje biskupa Ademara" — fragm. z III tomu powieści Zofji Kossak — pt. „Krzyżowcy". 16.15 Utwory religijne w wykonaniu Chóru Katedry Poznańskiej 17.00 „O słynnym żeglarzu Mierosławskim — odczyt 17.15 Nowości z płyt 17.50 „Baranki Wielkanocne" — pogadanka 18.00 Nabożeństwo Rezurekcyjne z Katedry na Wawelu 19.00 Rezurekcja — suita muzyczno-poetycka 19.30 Muzyka salonowa 20.15 Jerzy Fryderyk Haendel: Psalm na chóry, solistów i organy, 20.45 Rozmowa dzwonów wielkanocnych — aud. Wandy Achremowiczowej 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy, „Święto Zmartwychwstania" 21,30 Recital fotepianowy Aleksandra Brachockiego 22.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P.R. 23.00 Muzyka rozrywkowa.

HUMOR

Praktyczność dziecięca

Mały Jaś i Zosia rozmawiają ze sobą o kłopotach z uczesaniem. Mama stale upomina, ażeby nie chodzili ciągle z roztarganemi włosami. Jaś więc, przypomniawszy sobie jednego z wujaszków, który ma głowę łysą jak kolano, wzdycha do łysiny:

— Wiesz, Zosiu — mówi — gdybym miał taką łysinę, jak wuj Szczepan, tobym się nie potrzebował wcale czesać.

— Tak, to prawda — odpowiada po głębszym namyśle Zosia — ale pomyśl: ile miałbyś wtedy twarzy do umycia.

Recydywista

Pewien reżyser polski po nakręceniu wielkiego propagandowego filmu, zwalczającego żucie gumy i nadużywanie sacharyny, wyjechał z miasteczka, nie zapłaciwszy za mieszkanie.

Gospodarz jednak się nie martwi.

— On tu jeszcze wróci, proszę pana — on tu zrobił już dwa filmy, a zbrodniarzy zawsze ciągnie na miejsce zbrodni.

Jej choroba

— Mówił mi pan wczoraj, że żona pana jest chora, a dzisiaj spotkałem ją w salonie mód.

— To jest jej apteka!

Nie można niepokoić...

— A nie zapominaj — mówi pani do nowo przyjętej służącej — że gdybyś cokolwiek rozbiła, masz mi zawsze zaraz o tem powiedzieć.

— Ależ, proszę pani! — odpowiada służąca — gdzieżbym ja mogła panią co chwila niepokoić!...

Współtowarzysze niedoli

— Jak mogłeś pójść do biura z taką dziurą na rękawie? Co sobie pomyślą twoi koledzy?

— Nic, oni obaj są żonaci.

Złośliwy

— Ja sypiam zwykle w rękawiczkach, co znakomicie wpływa na gładkość skóry — powiada łysy jegomość.

— Pan zapewne sypia w kapeluszu? — zagaduje uprzejmie znajomek.

Bajeczki

— Mamusiu, czy wszystkie bajki zaczynają się od słów: „Był sobie pewnego razu...?"

— Nie wszystkie, dziecinko. Niektóre bajki zaczynają się od słów: „Dziś mam ważną konferencję, która przeciągnie się do nocy..."

Ostrożność

Nerwowy komiwojażer zabiera zawsze ze sobą w podróż drabinkę sznurową. W jednym z hotelów pyta go zaciekawiony właściciel, do czego właściwie ma służyć owa drabinka.

— Na wypadek pożaru, abym mógł wyjść przez okno.

— Znakomity pomysł. Muszę jednak uprzedzić pana, że goście z drabinkami płacą u nas należność z góry.

Już się widzieli

— Przepraszam pana, czyśmy się już kiedyś gdzieś nie widzieli?

— Zdaje się, że nie miałem tej przyjemności.

— Czy to nie było w Lublinie??

— Jak żyję, tam nie byłem!

— A to dziwne, wie pan, bo i ja tam nie byłem. Więc to widocznie byli jacyś dwaj inni panowie.

Nie przeczuwał

Żona i mąż spacerują w parku. Żona wskazuje ustronną ławeczkę:

— Pamiętasz temu lat dwadzieścia, przysięgałeś mi na tej ławeczce dozgonną miłość...

— Rzeczywiście! Ktoby pomyślał wtedy, że się pobierzemy!

Dobrze mu poradził

— Panie doktorze! Stała się rzecz niezwykła. Mój półtoraletni chłopak, będąc bez dozoru, dorwał się do mojego biurka i wypił mi wszystek atrament z flaszeczki co do kropli. Radźcie, panie doktorze, co mam robić?

— Pisz pan teraz ołówkiem.

Duet

— Bardzo byłbym zadowolony, gdyby pan swego psa oddał komuś. Wczoraj znowu zaczął wyć, gdy moja córka śpiewała!

— Niezmiernie mi przykro, ale ona pierwsza zaczęła.

Niezręczny

— Panie Wacławie, niech pan przyjdzie do nas w niedzielę. Będzie kilka ładnych i młodych kobiet.

— Ja nie przychodzę dla ładnych i młodych kobiet, tylko dla pani.

Grzeczny

— Bardzo grzecznie postąpiłeś, ustępując w wagonie miejsca temu starszemu panu.

— Widzisz, na tem miejscu coś było rozlane.

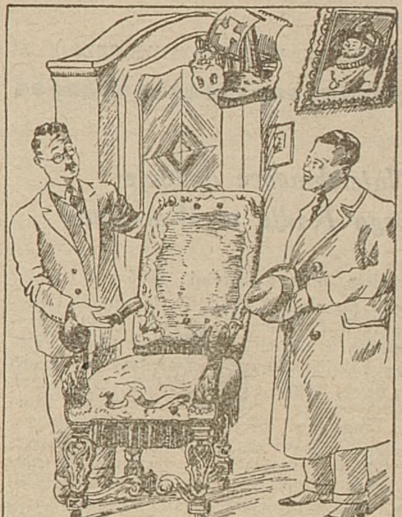
Różnica

Feluś przeniósł zegarek jakiegoś poczciwca do swojej kieszeni i za ten niewinny żart stanął przed surowym obliczem sędziego, który mu wlepił 6 miesięcy więzienia.

— Czy można wyrok odsiedzieć zimą? — pyta się Feluś.

— A dlaczego nie chcecie siedzieć podczas lata?

— Bo proszę sądu, latem są dużo dłuższe dnie.



W antykwarjacie

— Oto fotel, na którym siedział cesarz Napoleon...

— Phi! Mam niejeden taki w domu... mój ojciec też był Napoleonem...

Pociecha

— Ja sobie wyobrażam, co ty będziesz robiła po mojej śmierci!

— I jak sobie to przedstawiasz?

— Ano, zatańczysz na moim grobie ostatni taniec...

— Ależ kochanie, ja przecież wcale nie znam tych nowych tańców!

Słówka filmowe

Wielbiciel Zuli Pogorzelskiej: pogorzelec.
Wielbicielka Sawana: sawantka.

Zły przykład

— Przepraszam pana, ale tu w kinie palić nie wolno! — mówi bileter do jakiegoś gościa na widowni.

— No tak, ale niech pan zabroni palić także temu tam na filmie, ja jeszcze mogę wytrzymać, gdy nikt nie pali, ale gdy widzę kogoś palącego, muszę się zaciągnąć.

Mimo przymówki

— I nie oświadczył ci się dotąd?

— Nie! Pomimo, że mu już ze dwadzieścia razy grałam marsz weselny Mendelssohna!...

Kalkulacja

— Ile kosztuje ten wiatraczek?

— Zwyczajne pół złotego, ale dla takiego kawalera oddam za 50 groszy.

Dziwne

— Pół godziny temu mój pies pobiegł za tym zającem...

— No więc co z tego?

— Jestem zaniepokojony: zając wrócił sam.

Dźwiękowiec

Przy kasie kina:

— Proszę o pół biletu, jestem ślepy na jedno oko.

— Ale pan ma za to bardzo duże uszy!

Jakby to było dobrze!...

Młoda mężatka, której męża powołano na ćwiczenia wojskowe, pisząc do niego pewnego dnia, zaczęła w ten sposób:

„Drogi Staszku! Kocham cię tak gorąco, że jak otworzę szafę i zobaczę Twoje ubranie wiszące na kołku, stają mi łzy w oczach i myślę sobie, jakby to dobrze było, gdybyś to tak wisiał!"

W Szkocji

Szkotka biegnie do sąsiadki:

— Może mi pani pożyczy dwa kawałki cukru! Przyszły do mnie niespodziewanie z wizytą dwie panie.

Anonim

— Zechce pan coś ofiarować na cel dobroczynny?

— Owszem, proszę bardzo, oto czek!

— Ale czek jest niepodpisany!

— Pragnę być filantropem anonimowym!

Trudny problem

Mąż (czytając sprawozdanie z jakiegoś ślubu):

— Jest tu coś, czego nie mogę zrozumieć!

Żona: — Co takiego?

Mąż: — Według dzienników każda panna młoda jest piękna. Skąd się zatem biorą brzydkie mężatki?...

Signum temporis

— Ach! proszę pana, synek mój to naprawdę cudowne dziecko. Ma dopiero ośm lat, a już pali papierosy, grywa w karty i doskonale zna się na piwie !

— A jakże czyta?...

— A, co do tego, to jeszcze za młody.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 95 gr, kwart. 2,85. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie